Nr. 12. Kraków, dnia 20 marca 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

DAR GRUNWALDZKI.

W maju ub. r. Piotr Rosegger, poeta styryjski, wystąpił w „Neues Wiener Tagblacie“ z odezwą do wszystkich Niemców, aby składali na niemieckie szkoły kresowe. Pod obudzającym zainteresowanie tytułem: *dwa miliony równe Dwu tysiącom* — Rosegger nawoływał rodaków do subskrybowania deklaracyi, wedle której deklarant obowiązuje się złożyć 2000 kor. gotówką, o ile zbierze się dwa miliony deklaracyi. Przeznaczając administracyę funduszem niemieckiej organizacyi oświatowej „Schulvereinowi“, Rosegger wyraził przekonanie, że znajdzie się tysiąc Niemców lub instytucyi niemieckich, które złożą na rzecz oświaty ludowej ten drobny datek.

I nie zawiódł się! Posypały się datki z wszystkich krajów austryackich, z Niemiec całych. Także Niemcy mieszkający w Galicyi złożyli swą cząstkę. Nie minęło dziesięć miesięcy — a deklaracye osiągnęły pożądaną kwotę. Sukces został osiągnięty.

A obecnie „Schulverein“ w odezwach rozrzucanych wszędzie, nawoływa do dalszych deklaracyi — i wierzy, że społeczeństwo niemieckie złoży drugie tyle na obronę kresów wschodnich. Cel funduszu Roseggerowskiego jest sprecyzowany: pieniądze iść mają na walkę z Czechami i Polakami, na fundowanie na tych terenach, gdzie się niemieckość styka z tymi żywiołami lub gdzie przez nie jest otoczona — twierdz obronnych, szkół ludowych, w którychby młodzież wychowywała się w duchu narodowo-niemieckim.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Raźnie podjęło społeczeństwo polskie w Galicyi rzuconą rękawicę. W rozmaitych kołach budziły się usiłowania ku odparciu ataku. Ujęło je w wspólny mianownik lwowskie *Słowo Polskie* i w odezwie dn. 17. maja 1909. r. wezwało kraj cały i Polskę do subskrybowania i deklarowania funduszów na *Dar Grunwaldzki*.

Jak przed 500 laty stoczono batalię wojenną, tak obecnie podjęto w rocznicę Grunwaldu walkę kulturalną o dusze młodzieży.

Apel do społeczeństwa zrobił swoje. Ozwały się echa jego w całym zaborze austryackim, w zaborze pruskim i rosyjskim, na Litwie i Rusi. Idea Daru Grunwaldzkiego obudziła niezwykłe zainteresowanie wśród wszystkich sfer społecznych, stała się przedmiotem rozlicznych dysput w prasie.

Potrzebę takiej akcyi odczuto głęboko, a znaczenie jej zrozumiano rychło. Dar Grunwaldzki stał się probierzem żywotności narodu. Rzucone hasło ujęło wszystkich i dało wyraz jednolitości narodu mimo kordony i zmianę stosunków w rozmaitych dzielnicach. W składkowaniu na Dar Grunwaldzki wzięli udział wszyscy — i terytoryalnie i społecznie: więc i na Rusi i Litwie, w Królestwie i Poznańskiem, na obczyźnie i w Ameryce popłynęły składki na Dar; więc składkowali na ten cel chłop i robotnik, mieszczanin i urzędnik, duchowny i magnat.

I w tej *powszechności* składkowania, w współdziałaniu *wszystkich* leży najdonioślejsze znaczenie akcyi.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Myśmy na odzew Roseggerowski odpowiedzieli pierwsi, za nami poszli Czesi i Włosi.

Nie można wszystkich tych akcyi traktować równomiernie. Najmniej wiadomości mamy o akcyi Włochów; znając jednak nienawiść Włochów do Niemców, można być pewnym, że całe Włochy tę akcyę poparły skutecznie.

Czesi zebrali na „dar milionowy Macierzy szkolnej“ ponad milion kor. gotówką, a na drugi milion zebranych jest do 40.000 kor. Akcya ich ma tę smutną stronę, że częściowo zwraca się przeciwko nam: — najsilniej bowiem u nich daje się słyszeć hasło fundowania szkół czeskich na Śląsku Cieszyńskim, gdzie usiłują zczechizować ludność polską.

Nasz *Dar Grunwaldzki* deklaracyi ma na milion trzysta tysięcy koron, a złożonych w gotówce około 300.000 kor. Są to kwoty, jak na taką akcyę szczupłe stosunkowo — ale na obronę naszą musimy zaznaczyć, że rząd rosyjski w 2 tygodnie po podniesieniu akcyi *Grunwaldzkiego Daru* zakazał o nim pisać, zbierać nań datki i agitować za nim. Poznańskie nie przyczyniło się dużymi datkami, samo zaabsorbowane w swej walce narodowej. Z Ameryki dotąd składek nie nadesłano — tak, że śmiało powiedzieć można, że $^3/_4$ zdeklarowanych i złożonych pieniędzy pochodzi z zaboru austryackiego, co chlubnie świadczy o odradzającej i przodującej całej Polsce dzielnicy.

Czy koniec już zabiegów naszych? Nie, po stokroć razy nie! Pracy dziś nam trzeba więcej, niż kiedykolwiek indziej. W kraju podniosły się urzędowe głosy pewnych sfer przeciw czczeniu rocznicy Grunwaldu — chcą nam przyćmić wszelką uroczystość, sparaliżować całą pracę.

Wobec tych usiłowań tem niezbędniejszą jest akcya agitacyjna za *Darem Grunwaldzkim* i *grunwaldzkiemi uroczystościami.* Chcemy z Narodem całym budować twierdze dusz polskich, chcemy z całym Narodem przywoływać wspomnienia wielkiej, dostojnej przeszłości! *Ducha nie gaście!* — wołamy z ks. biskupem Bandurskim, bo przez tę akcyę, konsolidującą ogół polski, duch nasz potężnieje i wzrasta i naród się odradza...

***

W sprawie żydowskiej.

(Z listów do Redakcyi).

Szanowna Redakcyo!

Tygodnik Narodowy w szeregu rozmaitych artykułów zajmował się najważniejszemi niemal zagadnieniami współczesnego życia społeczno-politycznego w zaborze austryackim. Cieszy mnie to szczere stawianie spraw tych nie na gruncie partyjnym, ale ocenianie ich ze stanowiska idei ogólnonarodowej. Tyle mamy partyjności w naszem życiu społecznem, że jest jej za wiele, że wyradza się wzajemna nietolerancya, a konsekwencyą tego jest fakt, że co pochodzi od przeciwnika partyjnego — w mniemaniu większości — jest już złe. Są to objawy niezdrowe i dlatego wdzięczny jestem *Tygodnikowi* za traktowanie zagadnień ze stanowiska ogólno-narodowego. Na to chcę zwrócić uwagę szan. Czytelników i to w *Tygodniku* cenię ogromnie. Kiedy o tem mówię, choć to odbiega od właściwego tematu, nie mogę ukryć i mego zdziwienia i znajomych moich, zwolenników *Tygodnika*, którzy nie mogą zrozumieć, jak przy tak niskiej przedpłacie można dawać tyle materyału wyborowego, tak zajmujące powieści i tyle pięknych ilustracyi. My w Galicyi *nie mieliśmy dotąd* takiego pisma, tak taniego i dającego tyle prac wartościowych!

— Świadczy to, że *Tyg. Nar.* nie jest pismem obliczonem na zyski, że pragnie tylko służyć społeczeństwu, dając mu zdrową lekturę. Powodzenie *Tygodnika Narodowego* i jego rozwój zawisł wyłącznie od poparcia Czytelników. — (Przyp. Red. „Tyg. Nar.“)

Ale wracając do rzeczy, chciałem zwrócić Redakcyi uwagę na *kwestyę żydowską* w naszym kraju. Żydzi zamiast wyemigrować do Palestyny i tam stworzyć sobie własne państwo, powiedzieli sobie, że dla nich rajem obiecanym jest — Galicya i rozpanoszyli się niemożliwie. Gdzie ich niema? W handlu są panami w bankach rządzą, gazety sami skupują, w przemyśle gospodarują, dziś włażą już na wieś i żyd jest „szlachcicem“ na roli — istne zatrzęsienie żydostwa! A ilu ich jest urzędnikami, a lekarzy i adwokatów co niemiara! A co się działo na posiedzeniu Izby adwokackiej we Lwowie: jak to się oni rządzili tam, jak szara gęś! My musimy coś robić, bo kto wie, czy oni nie przerobią nas na kraj własny.

Tygodnik Narodowy ma ogromne czucie z całem życiem narodowem, a sprawy publiczne bierze sercem gorącem. Widać to z ankiety o Niemcach w Galicyi. Prawie się tego niebezpieczeństwa u nas nie uwzględnia, choć to tygrys przyczajony. I pierwszy *Tygodnik Narodowy* postawił je na stanowisku słusznem i narodowem. Wierzę niepłonnie, że ankieta *Tyg. Nar.* przysporzy owoców dobrych i da nam jakieś środki do zwalczania germanizmu u nas. Możeby i ankietę, konkurs o kwestyi żydowskiej rozpisać? Możeby także znaleziono jakie środki zaradcze?

Miecz. Ożarski.

Od Redakcyi.

Kwartał mija od czasu wydania pierwszego numeru naszego Tygodnika. Chociaż czas to niedawny, mimo to wszakże stwierdzić to już możemy, że Tygodnik nasz zdobył sobie poważny poklask, że cieszy się dużą sympatyą. Pierwsze zeszyty nie wypadły może tak, jakbyśmy tego sobie życzyli, lecz jedno mamy na pocieszenie, że początki są zawsze trudniejsze. Ufamy wszakże, że przy pomocy naszych Czytelników, uda nam się wprowadzić znaczne pod każdym względem ulepszenia w Tygodniku.

Szliśmy dotąd w kierunku czysto narodowym, poruszając sprawy najżywotniejsze. W kierunku tym pójdziemy i w przyszłości niezachwianie.

W licznych kołach spotkaliśmy się ze szczerem uznaniem — to nam jest podnietą do wytrwania na raz obranej placówce.

Nadchodzi obecnie *kwartał drugi.* Upraszamy przeto naszych Czytelników, aby przedpłatę *odnowili w czas.* Późniejsze bowiem zamawianie narazićby mogło naszych Czytelników na zwłokę w otrzymywaniu pisma.

W końcu wyrażamy nadzieję, że Szanowni Czytelnicy nasi, zjednają nam obecnie jak najwięcej zwolenników. Pamiętajmy o tem, że *Tygodnik Narodowy* jest przyjacielem rodziny polskiej, znajdować się też powinien *w każdym domu szczerze polskim i katolickim.*

Przedpłatę przesyłać należy do Administracyi w Krakowie, ul. Wiślna 2.



Zagłoba.

Konieczność.

„Na świecie *koniecznie* jeszcze *rozpychać* trzeba i *odpychać,* aby sobie miejsce zrobić.

Żmichowska.

Twarda to łupina — konieczność. Ale każdy ją zgryść i rozłupać musi, chcąc iść sprawiedliwością, albo walką ze złem. Tysiące gatunków jest tej konieczności — którą musimy przełamywać, ale jedną może z najtwardszych jest właśnie owo *odpychanie,* o którem wspomina Żmichowska.

Niestety — musi człowiek odpychać całą siłą złe od swej duszy — lenistwo od życia, samolubstwo od serca — i — obczyznę od Ojczyzny.

Nie jest to zemstą — złością — nienawiścią, ale obowiązkiem i powinnością ludzi miłujących swą Ojczyznę, a chyba tylko bezduszne szkielety, nędzne samoluby i zaprzedańcy sprawy narodowej nie uznają tej konieczności za świętą powinność.

Jeżeli naród otoczony jest na pograniczach sąsiadami, którzy mu chcą zabierać ziemię piędź po piędzi — koniecznie musi on odpychać wciskających się w jego zagony obcych i bronić w ten sposób praw narodowych. Jeżeli zaś ludzie z obcej ziemi, z obcej krwi, języka i ducha obcego, wejdą wśród mieszkańców kraju, przywłaszczając sobie wiele praw niesprawiedliwych — koniecznie musi się ludzi tych rozpychać i odpychać, aby nie dozwolić, iżby oni nas wypchnęli i odepchnęli...

Smutne to prawo konieczności, ale musi być wykonane.

Lecz jeszcze czego innego konieczność od nas wymaga.

Staje ona z powagą surowego nakazu przed nami i powiada:

Nie tylko wroga Ojczyzny odpychać trzeba od granic i praw narodu, ale trzeba odpychać to wszystko, co siłę ducha osłabia, szlachetność poniża — cnotę brudzi i godność narodu plami!...

O!... twarda konieczność, ale — konieczność..

Kto się z nią nie boryka, nie walczy, nie mocuje, nie przemęcza ciągle i bezustannie, ten nie odepchnie od siebie pokus, nie zwycięży ułomności i nie stanie na tej wyżynie poświęcenia dla narodu, na której stać by mu należało... Chcemy być pewni jutra Ojczyzny.

Wierzyć chcemy w to, iż wszelkie wysiłki wrogów nas nie podkopią.

A jednak obliczmy się szczerze.

Czyli z konieczności zrobiliśmy sobie obowiązek?... Niejeden — zamiast odepchnąć cudzoziemczyznę przygarnia ją ku sobie. Przyjął obcy język, popiera obce wyroby i handel, nawyka do cudzoziemskich zwyczajów i skłonności — tak powoli, kropla po kropli wpija się cudzoziemczyzna w życie, aż z Polaka staje się obcy człowiek, tryumf dla wroga.

Niejeden — zamiast odepchnąć nawyknienia niegodziwe, granie w karty, hulanki, życie niemoralne, robienie długów, tracenie na zbytki gorzko zapracowanego grosza — wplata się z tem wszystkiem w koło i — nie odepchnąwszy zła od życia, poniewiera i godność Polaka i obowiązki wobec narodu.

Niejeden — zamiast obronnej i szlachetnej służby w obec wysiłków wrogich — bierze leniwe wygody, próżnowanie, smakowite picie i jedzenie, stroje i przepych domu, a więc odepchnąwszy konieczność pracy — poddał się w służbie samolubstwu i nic nie zrobił dla narodu, ani dla Ojczyzny, bo wszystko wziął, dla siebie. Ależ bywa jeszcze gorzej.

Są tacy, którzy odpychają Ojczyznę od siebie, matkę swą rodzoną, żywicielkę swą, piastunkę najdroższą, najbiedniejszą z wszystkich matek, spłakaną, zranioną, zdeptaną... oni miast dźwignąć i podnieść, depcą i odpychają...

Czyż wiedzą co czynią?...

Nie!... Bo im już wrogowie ducha wydarli i serce przemienili nauką cudzoziemską, pracą swą trującą.

Więc odpychać obce wychowanie, obce wpływy, obce prawa, obce zamiary!... Bo na świecie jeszcze zawsze i koniecznie trzeba odpychać, aby można żyć swobodnie...

Konieczność to twarda i zmudna i ciężka i mozolna, ale musi być spełniona.

Od progu chaty, od szeptu pacierza, od uczuć serca, od wyrobienia zasad, od szlachetności ducha, od wiary w przyszłość, od pracy nad oświatą, nad ludem, nad zespoleniem wszystkich w miłości, odpychać obce wpływy, obce dłonie i obce podstępy, a wtedy konieczność wielkiej pracy — sprowadzi plon wielkiego tryumfu!...

Płomień.

Celina Mickiewiczowa.

(* 16 lipca 1812 r. w Warszawie, † 5 marca 1855 r. w Paryżu).

W dniu 5-ym marca r. b., upłynęło 55 lat od chwili zgonu tej wiernej towarzyszki naszego wieszcza, która tylko o kilka miesięcy uprzedziła męża w podróży do lepszego świata.

Nigdy słuszniej, jak w tym wypadku, wyrażenie „lepszy świat“ nie da się zastosować, bo ten ziemski, który po czterdziestu dwu latach życia Celina opuściła, był dla niej miejscem pokuty i wielkich udręczeń ducha. Mało zajmowano się tą kobietą, a przecież to postać bardzo sympatyczna, a przez swoje nieszczęścia budząca jak najgłębsze współczucie.

Urodzona w 1812 roku, miała dwudziesty drugi rok życia, gdy zaślubiła Adama Mickiewicza. Była to śliczna kobieta. Wdzięk i piękność odziedziczyła po matce, słynnej pianistce Maryi Szymanowskiej i zachowała je do śmierci. Zarówno ci, co ją znali z czasów panieńskich, jak i ci co patrzyli na gasnące jej życie, byli nią oczarowani. Doktór Stanisław Morawski, domowy lekarz i przyjaciel rodziny Szymanowskich, zapisuje w swoim pamiętniku, że „panna Celina jest prześliczna jak róża, w połowie dopiero wychylająca się z pączka, z cudownemi, czarnemi oczyma“, — a pani Falken-



Zdobycie Samo-Sierry.
Szarża jazdy polskiej (według obrazu Wojciecha Kossaka).

hagen-Zaleska, która odwiedzała dogorywającą już Celinę, świadczy, „że była w chorobie nadzwyczaj piękna i przy bladej twarzy, oczy czarne błyszczały jakimś nie ziemskim ogniem i słodyczą“.

Mickiewicz zaślubił ją w 22 lipca 1834 r. i wprowadził do skromnego mieszkanka, które najął na przedmieściu Paryża, i w którem zaczęli oni to ubogie życie emigranckie, które jak nić szarej przędzy, snuć się miało przez lat dwadzieścia. Już w pół roku po ślubie donosi Celina siostrze, że prowadzi jak najskromniej swoje gospodarstwo, choć żyć potrzeba, — „a co będzie dalej, mówi, nie wiem; może też Bóg dopomoże, w Nim cała nadzieja“.

Przyzwyczajona w domu matki do względnego dostatku, nie wahała się zejść z salonów do skromnej izby tułacza, wiedząc, że nie po różach wypadnie jej droga. To też z uznaniem pisze o niej Mickiewicz do brata, że „jest żoną, jakiej szukał, śmiała na wszystkie przygody, przestająca na małem i zawsze wesoła“. Tak, Celina była

żoną, jakiej poeta szukał, ale „biada niewiastom, co pokochały tych, których myśli, jak dymy wiecznie nad dachy ulatują!“ A myśli Mickiewicza miały orle skrzydła, i nie łatwo było nawet tak inteligentnej i tak jak ona, przywiązanej do męża kobiecie, dorównać ich rozmachowi. Niedostatek, który często pod dach młodego stadła zaglądał, trzymał ją na uwięzi. Musiała bardzo oszczędzać, skrupulatnie rachować się z każdym groszem i dużo sobie odmawiać... W domu była bieda, i tem się tylko pocieszali oboje, że „nie mieli prawa być szczęśliwsi od całego narodu“. Marna to pociecha dla tej, której rękawa czepiało się, po kilku latach, kilkoro dzieci, której białe ręce przywykłe przebiegać po klawiaturze, widział poeta chudsze jeszcze, niż były później w ostatniej jej chorobie.

Rozliczne troski, choroby dzieci, niedostatek w domu wreszcie uderzenie pokarmu na mózg, przyprawiły ją o obłąkanie, w które popadła w końcu 1838 roku. Mickiewicza nie było wtedy w Paryżu; przebywał on w Lozannie, czyniąc starania o uzyskanie katedry literatury łacińskiej w tamtejszym uniwersytecie. „Byłem świadkiem tego okropnego stanu umysłu Celiny — pisze Eustachy Januszkiewicz do narzeczonej; — miała ona jednak i chwile spokojniejsze. Gdym do niej przyszedł, oświadczyła mi, że chce grać na fortepianie. Grała przez dwie godziny, a potem pytała, czy chcę by mi zaśpiewała — i śpiewała Wilię. Nigdy mi śpiew tak okropnym się nie wydawał jak w tej chwili. Śpiewała ze łzami w oczach i z takim ogniem w duszy, że zdawało się, że pierś co te tony wydaje, już innych nie stworzy, że z ostatnią nutą wszystko w tej pieśni zamrze“.

Straszne przebył katusze Mickiewicz, gdy po swoim powrocie zastał żonę w takim stanie. „Na szczęście, w pomoc przyszły mu łzy“. Ależ i ona, w jaśniejszych chwilach, zdawała sobie sprawę ze swego stanu i również cierpiała ogromnie. Wyleczyli ją wprawdzie lekarze, ale dwukrotne jeszcze napady obłąkania podkopały jej organizm, i nigdy już zupełnie zdrową nie była. Te długie lata, które od ostatniego ataku mózgowego w roku 1848, pozostały jej do życia, pełne były dla niej bolesnych zawodów, poświęceń bez granic i wysiłków energii. Mąż stracił posadę, i „większą cierpiał biedę niż mógł ją opisać“. Dzieci znowu chorowały, a biedna Celina, na której skołatanej głowie spoczywa cały ciężar domowego gospodarstwa, cudów doprawdy dokazywała, kręcąc po prostu bicz z piasku. Nie upadała jednak pod brzemieniem trosk, jakie na nią obowiązki matki i gospodyni wkładały. „Nie myśl, — pisała w tym czasie do siostry, — że niedostatek pieniężny, w którym teraz jesteśmy, bardzo nas martwi. Przechodziłam ja przez większe jeszcze nieszczęścia...“

Najbliżsi jej osoby nie domyślali się nawet, ile znosiła utrapień i goryczy. „Nie pamiętam — pisze jej córka, pani Marya Gorecka w ślicznych swoich Wspomnieniach, — abym kiedy słowo zniecierpliwienia lub skargi z ust jej posłyszała, i to wśród najcięższych kłopotów i biedy emigranckiego życia. Z nieporównaną energią dźwigała ona jego ciężar, który i silniejsze mógł ugnieść barki“. A Lenartowicz świadczy, że „miała ona anielską cierpliwość, i taką ciszę w duszy, na jaką nie lada heroizm się zdobędzie“. Smutna i łagodna spełniała ona swoje zadanie z poddaniem się woli Bożej, i tylko w domu wiedziano, ile to ją łez i wysiłków kosztowało... „Życzę pani z całego serca trochę domowego spokoju, — pisała do niej na Nowy Rok 1853 pani Cornu, — oby pani miała mniej trosk i kłopotów, niż w roku zeszłym.

Inny, rzewny rys jej usposobienia przytacza pani Gorecka, opowiadając, jak raz matka, ubrana już do wyjścia z mężem na wieczorną wizytę, bez szemrenia i z uśmiechem na ustach, zrzuciła z siebie lepszą sukienkę, kiedy Mickiewicz w ostatniej chwili oświadczył, że się rozmyślił i na wizytę nie pójdzie.

Drugą cechą jej charakteru była odwaga; nie ta, co to u zwykłych kobiet manifestuje się buntem przeciw władzy mężowskiej, co to chce zawsze być górą i postawić na swojem, ale ta, co płynie z szlachetnego i gotowego do poświęceń serca. Tę odwagę w wysokim stopniu posiadała Celina. Gdy w czerwcu 1848 roku nastąpiły w Paryżu nagłe i krwawe rozruchy, znajdowała się ona wtedy w odwiedzinach u pani Quinet. Nie zważając na grożące jej niebezpieczeństwo, przedzierała się odważnie, i z podziwem Francuzów, wśród świstu kul przez barykady, spiesząc na drugi koniec miasta, na Batignolles, do swoich dzieci, które w domu zostawiła.

Ta odwaga i moc ducha nie opuszczały jej do ostatniego momentu. Na rok przed śmiercią, ciężko już chora, znajdowała jeszcze dość moralnej siły, aby zapanować nad strasznemi cierpieniami, które ją dręczyły, pocieszać strapionego męża i krzątać się, o ile mogła, około domowego gospodarstwa. Z niemniejszą odwagą, którą w takich wypadkach mało zaiste osób ukazuje, prosiła męża, aby ją uwiadomił o wyroku lekarzy. Stało się zadość jej woli.



„A oni szli za Nim“.

„Na kilka dni przed zgonem, — donosi poeta przyjacielowi, — uwiadomiłem ją, że niema już żadnej nadziei. Przygotowała się na śmierć z wielką odwagą i spokojem. Umarła w stanie błogosławieństwa pełnym“. Dnia 5 marca 1855 roku, zgasła cicho, prawie niepostrzeżenie, tak, że mąż czuwający przy niej, nie dostrzegł ostatniego jej tchnienia...

„Mało jest kobiet, — pisze syn Władysław, — które zdołałyby z podobną godnością, z podobnem zaparciem siebie samej, przyjąć jak ona najcięższe koleje życia, odmawiając sobie prawa skargi, tak w bólach fizycznych jak i moralnych“.

Niechże więc choć łza współczucia, spłaci dług należny wiernej towarzyszce doli poety, która nieraz niesprawidliwie sądzona, tak długo zapomniana, pomagała mężowi, bez skargi i szemrania dźwigać ciężki krzyż opłakanego życia.

Na marginesie.

Ciągną ptaki.

Górą, chmurą, po nad lasy, po nad chat kominy, ciągną one z wrzawą radośną, z wołaniem rozgłośnem, z śpiewaniem dźwięcznym i do gniazd swych wracają, do stron rodzinnych trafiają.

A kto ich ujrzy, klaszcze w dłonie z uciechą, wypogadza czoło, uśmiechem wita i woła:

— Ciągną ptaki z południa! Będzie wiosna... nowe życie wraca...

A dołem, gościńcami błotnistemi, ścieżynkami krętemi, miedzami jeszcze z chłodu zimy nie ogrzanemi ciągną tłumy z chmurą na czole, z bólem w sercu, z pijawką głodu wewnątrz i idą w dal od gniazd rodzinnych, od stron swoich, do ziemi matki.

A kto ich ujrzy bólem zaciska usta, dłonie kurczowo splata, żałość czuje w sercu i szepce:

— Ciągną biedacy za pracą, za chlebem, za zarobku drobiną... przednowek ciężki! Chleba brakło!... biedne dzieci wsi i miast!...



Przystań w Gdańsku w nocy.

I kiedy ptakom z południa ciągnącym ścieli się droga do śpiewu, wesela, kolebania młodych w gniazdach, to ptakom, wlokącym się „do Prus“, „do Ameryki“ ścieli się tułaczy szlak tęsknoty, nędzy bezdomnej, zapomnienia u swoich i wyzysku u obcych...

A kiedy ptakom wśród gajów, lasku, pól i chat każdy słowo powitania z radością rzuci, to ptakom idącym za chleba kruszyną w świat obcy, nikt ręki na pożegnanie nie poda i nikt ich nawet widzieć nie chce... taki los odmienny dwu łańcuchów wędrownych ptasząt...

Górą, chmurą, po nad lasy i nad łąki płyną te z południa z gwarem pełnym radości..

A dołem miedzami, drogami, gościńcami w świat wiodącemi idą ci bosi, głodni i smutni...

Ku jednym wznoszą się oczy z radością...

Drugich nie widzą — nie znają... nie liczą...

Biedne polskie ptaki, głodem z gniazd rodzinnych pędzone.

Jan Świerk.

STRZELEC.

J. JUR.

(Dokończenie).

— Słuchaj dziewczyno — mówił dalej, opierając się na oknie — kiedyśmy ze starym dziedzicem szli walczyć za naszą sprawę, to na stopniach tego kościółka, przysięgliśmy wierność Bogu i ojczyźnie. Od tego czasu upłynęło lat wiele, przeszliśmy dużo niedoli, ale przysięgi nie złamaliśmy nigdy. Znosiliśmy razem więzienie i Sybir, pocieszając się wzajem, a wielki pan nie odtrącił nigdy od siebie biednego sługi. Po powrocie nie sługą, ale przyjacielem byłem mego pana, a jeżeli nie zdjąłem liberyi, to tylko dla tego, że z dumą nosiłem jego herb, jak gdyby on był moim własnym. A dzisiaj... herb ten zbrukany zdradą, przekupstwem.

Opierał się o okno, a pomimo to drżał cały jak we febrze; gwałtownym ruchem rozpiął zieloną kurtkę strzelecką, ozdobioną herbowymi guzikami i z gniewem odrzucił ją daleko od siebie.



PORWANIE.

W tej chwili dały się słyszeć kroki i lokaj ukazał się na progu.

— Jaśnie pan kazał prosić p. Tomasza do siebie — odezwał się, trzymając rękę na klamce, jak gdyby spieszno było mu odejść.

Strzelec zwrócony ku oknu, nie odrzekł ani słowa.

Jaśnie pan rozkazał mi powiedzieć, że ma pilne polecenie — odezwał się znowu lokaj, nie pojmując dziwnego zachowania się starca.

Zuzia z trwogą spoglądała na dziadka.

— Dziadunio zmęczony... chory... — szepnęła lękliwie.

Na słowa dziewczęcia, starzec odwrócił się szybko, targnął siwego wąsa, co zwykle było oznaką wewnętrznej walki i odparł krótko:

— Pójdę.

Była to raczej odpowiedź na jego własne myśli, aniżeli na wezwanie lokaja.

Zuzia instynktownie, jak gdyby przeczuwała burzę groźną piorunami, postąpiła kilka kroków i zasłaniając sobą starca, rzekła błagalnie prawie:

— Dziadzio przyjdzie... proszę powiedzieć, że zaraz przyjdzie.

— Lokaj nie rozumiejąc dramatu wielkiej boleści ludzkiej, który się rozgrywał przed jego oczyma, pokiwał głową i zniknął za drzwiami.

Po wyjściu lokaja dziewczę zwróciło się do strzelca.

— Jaśnie pan czeka na was dziaduniu.

Starzec zawrzał gniewem.

— Czego ty drżysz i patrzysz na mnie wylękła? Strach uczuwa tylko zbrodniarz; czego się lękasz?

— Takim nie widziałam was nigdy dziadziu! mnie tak straszno czegoś.

— To módl się; łzy i modlitwa to obrona kobiet.

Dziewczę szlochając usunęło się do kuchenki, a strzelec zarzuciwszy szarą kapotę, udał się do pałacu.

Przed drzwiami pańskiego gabinetu, zatrzymał się chwilę; wyraz jego twarzy złagodniał — czyż jak sędzia ma stanąć przed ostatnim potom-



Studyum.

kiem rodziny, której chleb tyle lat jadał i służył z wiernością i przywiązaniem psa? — Nie, niewdzięcznością nie splami się nigdy — błagać będzie.

Nacisnął klamkę, przestąpił próg i zatzzymał się przy drzwiach.

Na środku pokoju, zarzuconym papierami, siedział obecny dziedzic Pruszowic, robiąc ołówkiem obliczenia z korzyści, jakie mu przyniesie sprzedaż wsi, położonej daleko od jego dóbr, a którą był otrzymał drogą spadku, po zmarłym niedawno stryju. Twarz hr. Oryńskiego była zimną i spokojną, jak liczby, które kreślił na papierze.

Po chwili podniósł wzrok i spojrzał przelotnie na strzelca.

— Ach! dobrze, że już jesteście Tomaszu; przysposóbcie na jutro dobrego węgrzyna — zresztą znacie piwnicę wiecie, co się w niej znajduje.

Krew uderzyła do głowy starca, jak nieprzytomny oparł się o drzwi — straszna prawda stanęła mu w oczach, do tej chwili łudził się jeszcze.

Hrabia nie mogąc doczekać się odpowiedzi, podniósł głowę, ale zalednie wzrok jego padł na starca, gniewny powstał z fotelu. Nabiegnięta krwią twarz starca, błędne spojrzenie i zaciśnięte groźnie dłonie, nasunęły hrabiemn wątpliwość, co do trzeźwego stanu Tomasza.

Starzec poczuwszy wzrok pana, postąpił krok naprzód i chwycił się za pierś, jakby mu w nich tchu zabrakło.

— Nie zbliżaj się! — zawołał gniewnie hrabia. — Jak śmiesz w podobnym stanie stanąć przedemną. Odejdź! — i ręką wskazał mu drzwi.

Jak raniony lew, targnął się starzec, a z piersi jego wydobył się dyszący, kurczowy głos.

— Jam pijany jaśnie panie — odezwał się zwolna — ale bólem, który mi pali wnętrzności, rozpaczą, która mi życie wydziera. Cierpię strasznie — i dłonią uderzył się w pierś szeroką

Hrabia zbladł jak ściana, przygryzł wąskie wargi i zimnym jak stal wzrokiem, wpatrzył się w starca.

— Szalonyś człowiecze — wymówił spokojnym, chociaż trochę drżącym głosem — prześpij się, na takie bóle najlepsze lekarstwo.

— Szydzisz ze mnie, jaśnie panie — zaryknął starzec — jutro wydajesz ucztę; ale ostrożnie jaśnie panie, ażeby nie zabrakło wam wina na stypę pogrzebową, dla tylu tysięcy ludzi, którym z waszej przyczyny zabraknie ziemi na groby.

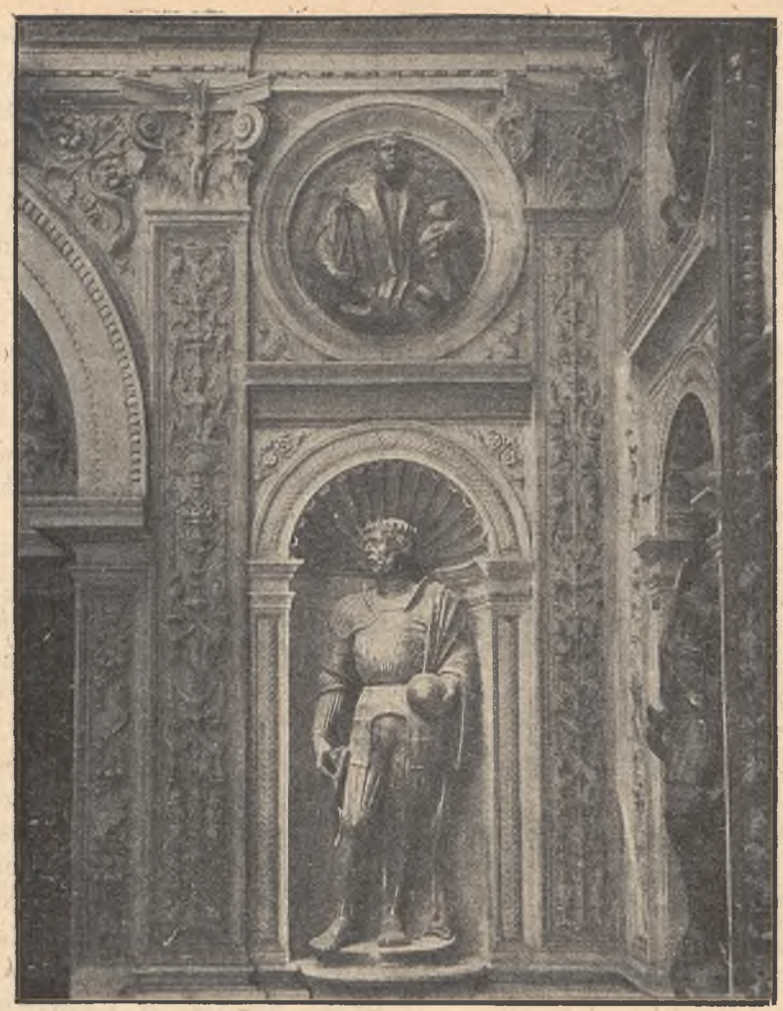
— Precz, precz mi z oczu! — wybuchnął hrabia i groźnie podniósł rękę, — nie wykonał jednak zamiaru, siłą woli powstrzymał się i stanął znowu na pozór spokojny przy stole.

Na chwilę zapanowało milczenie, słychać było tylko nierówny, przyspieszony oddech starca.

Nad biurkiem wisiał portret starego dziedzica — ku niemu, jak gdyby szukając ukojenia podniósł wzrok strzelec, a potem przeniósł go na hrabiego.

I otóż nagle odbiegł od niego gdzieś daleko gniew szalony, oczy jego wezbrały łzami i popłynęły po zoranej wiekiem twarzy. Wyciągnął błagalnie dłonie i jak długi runął u nóg hrabiego.

— Panie zmiłuj się nad nami! — jęczał uderzając głową o podłogę, a siwe roztargane włosy, dotykały obuwia hrabiego. — Powróćcie nam wiarę; gdym jęczał na Sybirze, byłem szczęśliwy, bom wierzył. Dzisiaj ja wątpię we wszystko — dajcie nam chociaż jeden promyk nadziei, że jeszcze nie wszystko stracone, że ta biedna polska ziemia ma jeszcze serca, które ją kochają. Gdy pierwsze złe wieści przychodziły do nas, po-



Motyw kaplicy Jagiellońskiej z posągiem św. Zygmunta i medalionem króla Zygmunta w katedrze na Wawelu.

cieszałem się powtarzając: nie wszyscy tacy. A dzisiaj... Panie zmiłuj się, ty przynajmniej nie plam imienia twego.

Hrabia stał ciągle nieruchomy, a na bladej jego poprzednio twarzy, wystąpiły gorączkowe rumieńce.

Starzec przestał błagać, powstał i stał przed nim z pochyloną ku piersi głową.

Odejdź — wyszeptał po chwili hrabia — na miłość Boską odejdź, zostaw mnie samego.

Starzec posłuszny woli pańskiej i wyczerpany walką i cierpieniem, cofnął się do drzwi i zniknął.

Kto zwyciężył — teraźniejszość daje nam odpowiedź.

Latający krawiec.

Jedna z niemieckich pieśni ludowych opowiada o krawcu, który „w Ulmie chciał spróbować latania w powietrzu, ale dyabeł spłatał mu figla i wtrącił go do Dunaju.“ Pieśń jest osnuta na fakcie rzeczywistym. Przed stu laty, mieszkał w Ulmie krawiec, Ludwik Albert Berlinger, który jednak więcej mozolił się nad wynalezieniem machiny do latania w powietrzu, aniżeli w warsztacie krawieckim. Jakoż udało mu się wynaleźć rodzaj latawca. Wypróbowawszy wynalazek swój w tajemnicy, przyszedł do przekonania, że może popisać się publicznie. Ogłosił tedy popis na dzień 30 maja 1811 roku. Bawił wtedy właśnie w Ulmie cesarz i następca tronu, którzy dowiedziawszy się o zapowiedzi krawca postanowili zaszczycić popis swoją obecnością. O godzinie naznaczonej, monarcha z synem zasiedli w namiocie, ustawionym na brzegu Dunaju, dokoła na-

namiotu ugrupował się orszak cesarski i dygnitarze miasta, a dalej nieprzebrane tłumy ciekawych. Na przeciwnym brzegu rzeki wznosiła się wysoka wieża drewniana, z której wierzchołka miał wzlecieć poczciwy krawiec. Aeronauta zjawił się przy odgłosie trąb i bębnów, w otoczeniu gwardyi miejskiej, za nim niesiono latawca, przedstawiającego się jako dwa potężne skrzydła. Bębny i trąby ucichły, stróże ratuszowi przytwierdzili do bark krawca owe skrzydła za pomocą rzemieni, które krzyżowały się na plecach i piersiach, a zapinały się metalowemi sprzączkami. Krawiec wszedł na wieżę z dobrą myślą, rozejrzał się po tłumie, śledzącym jego ruchy z zapartym w piersi oddechem, krzyknął: — W górę flaga! — i rzucił się w powietrze. Niestety, w tej samej chwili pękł jeden z rzemieni, przytwierdzających skrzydła do ramion i biedny krawiec, zamiast unieść się w górę, spadł do Dunaju. Przyjaciele, którzy czuwali w łodzi, pospieszyli mu z pomocą, wyciągnęli z toni, a jeden szepnął:

— Zmykaj pókiś cały! Będzie źle, jeżeli cię złapią. Miasto ci nie daruje, a i cesarz zapewne jest obrażony zawodem, jakiś wszystkim sprawił.

Krawiec usłuchał rady, zemknął, nie oglądając się za siebie i odtąd przestał się zajmować lotnictwem.

Drobiazgi naukowe.

Największa stacya elektryczna.

W Trollhätta, w okolicy sławnego wodospadu szwedzkiego, położonego mniej więcej o 70 kilometrów na północ od Gotenburgu, wre pospieszna praca. Z końcem r. b. stanie tam olbrzymi zakład elektryczny, największy ze wszystkich, jakie dotychczas istnieją w Europie. Z chwilą otwarcia zakładu, dnia 1-go stycznia 1910 r., będzie on rozporządzał siłą 80.000 koni mechanicznych. Siła spadku wodnego, zamieniona w energię elektryczną, będzie użyta w miastach i miejscowościach w szerokim okręgu do celów przemysłowych, oświetlenia itp. Prócz tego część uzyskanej energi ma posłużyć do wprowadzenia w ruch sieci kolejowej w całej południowej Szwecyi, którą postanowiono przemienić na trakcyę elektryczną. Budowle przy wodospadzie Trollhätta są prowadzone na koszt państwa, które oprócz tego wodospadu zapewniło sobie posiadanie szeregu innych wodospadów. Utworzono nawet specyalny oddział administracyi wodospadów. Spadek rozpoczyna się przy wyspie Gullön, ostatnie wodospady znajdują się około Ohdeloch. Na całej tej przestrzeni zbudowano obecnie kanał, który zbiera spadające wody, zacząwszy od Gullön i prowadzi je do zakładu elektrycznego w Ohdeloch.

Kanał, biegnący wzdłuż wybrzeża wschodniego, wyciosano w skałach; jest on niezwykłem dziełem technicznem, praca napotykała na olbrzymie trudności. Długość kanału wynosi 1,400 metrów, szerokość na dnie 10—14 metr., głębokość 15 metrów. Przy niżkim stanie wody, 8—10 metrów, przelewać się nim będzie 252 metry sześc. na sekundę; szybkość obliczają na 2 metry na sekundę. W końcowym punkcie kanału znajduje się na górze zbiornik, zkąd woda wpada do ośmiu komor turbinowych, wykopanych w skale na głębokość 12 metr. Centrala zaopatrzona w 8 turbin o sile 40.000 k. m. każda wznosi się na ośmiu potężnych sklepieniach, pod któremi uchodzi woda po przejściu przez turbiny. Jest to duży budynek, mający ogółem 98 metr. długości, 31 metr. szerokości, 18 metr. wysokości.

Mniejszy zakład funkcyonujący już dzisiaj w pobliżu wodospadu, dostarcza energii elektrycznej rozmaitym, nawet odległym, miastom, jak n. p. miastu Skara, położonemu w odległości 70 kilometrów nieco na południe od jeziora Wernera. Z chwilą puszczenia w ruch fabryki zmieni się zupełnie scenerya wodospadu Trollhätta. Dzisiaj jeszcze spadają tu z góry po skałach 562 metr. sześc. na sekundę. W przyszłości ilość wody wynosić będzie zaledwie 50 metr. sześc. na sekundę; na miejscu dziko spiętrzonych fal, które budzą obecnie zachwyt turystów, sterczeć będą nagie, gładkie skały łożyska rzeki.

Pocałunek przez gazę.

Teraz będziemy mieli pocałunki przez gazę... antiseptyczną. To ostatni wynalazek hygienistów. Uwzięli się oddawna na pocałunki; dowodzą, że nigdzie nie gromadzi się tyle mikrobów, jak na ustach. Stąd, ma się rozumieć, wniosek, że całować nie należy bezpośrednio. Można, tylko przy pomocy następującego przyrządu: Między jednemi ustami a drugiemi kładzie się kółko mosiężne z gazą, przesiąkniętą dezinfekującemi środkami, ma się rozumieć, bezwonnymi. Chodzi tylko o to, aby przyrząd znalazł się pod ręką w chwili właściwej. Pocałunek, to odruch, giest impulsyjny, niespodziany, a nuż przyjdzie nań ochota w chwili gdy kółka nie będzie w pobliżu? Więc najlepiej nosić go zawsze przy sobie — na wszelki wypadek. Ale czy pocałunek przez gazę nie straci smaku?...

Amerykańskie prawa.

Parlament stanu Merylend, w Ameryce Północnej, ogłosił niedawno ustawę, która wywołała żałobę wśród płci pięknej. Oto każda niewiasta, która ukaże się w kapeluszu szerszym, niż 10 cali, karaną będzie grzywną 32 do 320 m. za występek przeciw porządkowi publicznemu. Kapelusze szerokie utrudniają bowiem ruch uliczny w Merylendzie, a przez to szkodzą dobrobytowi ogólnemu.

W stanie Nebraska wyszła ustawa, nakazująca właścicielom hotelów zmieniać codziennie ręczniki w pokojach hotelowych. Kołdry w łóżkach mają być długie najmniej 8 stóp.

W stanie Kolorado ustawa zakazuje dawania i przyjmowania napiwków. Nieusłuchanie tej ustawy jest przekroczeniem, ściganem przez prokuratoryę. Tylko kelnerzy w wagonach sypialnych mogą pobierać napiwki. W Oregon podlega karze każda kobieta, która pokaże się na ulicy ze szpilką przy kapeluszu, dłuższą od 9 cali. Jeżeli szpilka wynosi 12 cali, właścicielka jej karaną jest za niedozwolone noszenie broni.

W stanie Delavare ustawa traktuje starych kawalerów i wdowców, jako uciążliwych obywateli, oddaje ich pod dozór policyjny i nakłada na nich osobny podatek.

W Utah podlega karze każdy obywatel, który przynajmniej raz w tygodniu nie używa kąpieli. Przestępstwo to ściga prokurator.

W stanie Texas wreszcie zakazuje prawo surowo kląć przez telefon; przestępca podlega surowo karze.

W stanie Merylend jest w przygotowaniu projekt ustawy, karzącej więzieniem kobiety, które nie zdejmą natychmiast i dobrowolnie kapeluszy w teatrach i salach koncertowych.

Kinematograf pod biegunem.

Eksploatorzy dzielnic polarnych do rzędu niezbędnych aparatów, zabieranych w podróż, zaliczają obecnie przyrządy do zdjęć kinematograficznych. Dokonywał ich Shackleton, zdobywca południowego bieguna. Wystawiono właśnie te żywe fotografie w Berlinie. Oglądać można pingwiny, poruszające się ciężko, a tak śmiałe, że podchodzą do człowieka, aby mu się przyjrzeć. Dalej widać, jak foki gramolą się na ląd, chodząc po nim niezgrabnie, powoli i wreszcie wskakują do wody. Ciekawym jest widok życia podróżników, oraz ich bohaterskich wysiłków, gdy naprzykład „w pocie czoła“ przy 40 stopniach mrozu, ciągną sanki po lodzie. (Musieli to robić po dziesięć godzin na dzień przez trzy miesiące). Oglądać można układanie się na noc w schroniskach, zakładanie mandżurskich kucyków i t. p.

DLA NASZEJ DZIATWY.

Wieczorny pacierz.

Zaszło już słonko
Wśród złotych zórz,
Klęknij, dziecinko,
I rączki złóż,
I pod blaskami
Tych jasnych gwiazd,
Módl się o spokój
Dla naszych gniazd,
Módl się za kwiaty
Rodzinnych pól,
Za tych, co płaczą
I cierpią ból...
Módl się, byś urósł
I nabrał sił,
I braciom — ludziom
Byś miły był!
Módl się, by dom ten
Wziął Bóg pod straż
I za mateńkę
Mów: „Ojcze nasz“.

M. Konopnicka.

Skrzynka Redakcyi.

— **WP. Miecz. Ożarski** w P. Dziękujemy serdecznie za słowa, dodające otuchy w zmudnej pracy dziennikarskiej. Wierzymy, iż przy wzajemnem zaufaniu i przy poparciu Czytelników postawimy nasz tygodnik na należnym stopniu rozwoju. — Co do kwestyi żydowskiej, to jej mamy zamiar poświęcić kilka artykułów w najbliższych numerach; tam opiszemy stanowisko żydów w Galicyi i zastanowimy się nad środkami zapobiegawczymi. Co do planu rozpisania konkursu — to zastanowimy się nad tem.

— **WP. Jan Żm.** w Gr. Dziękujemy za list; prosimy o pamięć o piśmie.

— **WP. L. P.** w L. Wiersz będzie drukowany w jednym z najbliższych numerów tygodnika naszego.

Maurice Leblanc.

Arseniusz Lupin,
wytworny włamywacz.

Przekład J. P.

Uwięzienie Arseniusza Lupin.

Dziwna podróż! Zapowiadała się tak pomyślnie! Co do mnie osobiście, żadna się jeszcze pod tak szczęśliwą wróżbą nie rozpoczęła! Prowancya jestto statek szybki, wygodny, wspaniale urządzony. Kapitan należy do ludzi najuprzejmiejszych w świecie. Towarzystwo zebrało się doborowe. Zawiązywały się stosunki, organizowały rozrywki. Doznawaliśmy rozkosznego wrażenia, ze odcięto nas od reszty świata, rzucono na wyspę nieznaną, pozostawiając własnemu losowi. Z konieczności więc musieliśmy się zbliżyć do siebie.

Istotnie, zbliżyliśmy się...

Czyście się kiedy zastanawiali, ile oryginalności, ile pola do niespodzianek przedstawia takie przypadkowe zgromadzenie osób, które się wczoraj jeszcze nie znały ze sobą wcale, a dziś skazane są na to, by czas pewien przebyć razem, wśród bezmiaru morza i bezkresnych przestworów nieba? razem stawiać czoło rozszalałym falom, wyzywać do walki wściekłość oceanu, złośliwość burzy i niepokojącą ciszę bezdennych głębin. Jestto w gruncie rzeczy obraz życia ludzkiego w tragicznem skróceniu, życia ze wszystkiemi jego burzami, górnemi wzlotami, monotonią, rozmaitości. I dlatego to może z tak gorączkowym pośpiechem i wytężoną rozkoszą upajaliśmy się tą krótką podróżą, której koniec widać było już w chwili, gdy się rozpoczynała.

Od niedawna coś się zmieniło. Pojawił się czynnik nowy, dający inne zabarwienie wrażeniom podróży morskiej. Mała wysepka, kołysząca się na falach, związana jest ze światem, od którego zdawała się być wyzwoloną. Istnieje nić subtelna, która się niekiedy i na pełnem morzu zadzierzgnąć daje... na pełnem morzu się i zrywa. Telegraf bez drutu! Wołanie z innego świata, zkąd otrzymujemy wiadomości w sposób dziwnie tajemniczy. Wyobraźnia okazuje się bezsilną. Niema już żelaznych nici, przynoszących niewidzialne poselstwo.

Tajemnica jest tem większą, tem trudniejszą do zbadania, owianą urokiem poezyi, że przelatuje na skrzydłach wiatru.

W pierwszych chwilach po odbiciu od brzegu czuliśmy wszyscy, że płynie ku nam z oddali jakiś głos życzliwy; głos ten towarzyszy nam stale, a niekiedy nawet wyprzedza, co jakiś czas, szepcąc każdemu po kilka słów serdecznych. Odezwało się do mnie dwu przyjaciół... Dziesięciu, dwudziestu innych przesyłało nam z odległości słowa pożegnania, tchnące smutkiem lub okraszone uśmiechem wesela.

Drugiego dnia podróży pogoda była burzliwa. Pod wieczór, na odległości pięciuset mil od lądu francuskiego, telegraf podawał nam depeszę następującą:

„Arseniusz Lupin na naszym statku, pierwsza klasa, blondyn, rana na prawem przedramieniu, podróżuje pod nazwiskiem R...“

W tej właśnie chwili rozległ się grom. Przerwały się fale elektryczne. Koniec depeszy nas nie doszedł. Pozostała tylko pierwsza litera nazwiska, pod którem się ukrywał Arsenius Lupin.

Gdyby szło o każdą inną wiadomość, pewien jestem, że tajemnica byłaby dochowana święcie, zarówno przez urzędników telegrafu, jak przez kapitana okrętu i komisarza policyi. Zdarzają się jednak wypadki, zdolne złamać najściślejszą dyskrecyę. Tegoździa jeszcze treść sensacyjnej depeszy przebiegła z ust do ust. Wiedzieliśmy wszyscy, że sławny Arseniusz Lupin ukrywa się wśród nas.

Arseniusz Lupin w naszem gronie! Arseniusz Lupin, wytworny włamywacz, którego dotąd nikt pochwycić nie zdołał! O którego świetnych czynach dzienniki rozpisują się nieustannie od wielu, wielu miesięcy! Zagadkowy, tajemniczy Arseniusz Lupin, z którym stary Ganimard, najzdolniejszy z naszych agentów policyjnych, rozpoczął pojedynek na życie i śmierć! Arseniusz Lupin, którego niezwykłe przygody owiane były urokiem dziwnej malowniczości! Arseniusz Lupin, mityczny gentleman, operujący jedynie w pałacach i salonach... Arseniusz Lupin, który pewnej nocy zakradł się do mieszkania barona Schormana, lecz nie tknął tam niczego, pozostawiając jedynie kartkę z napisem: „Arseniusz Lupin, gentleman włamywacz, wróci, gdy meble będą zmienione na stylowe“. Arseniusz Lupin, umiejący przybierać najrozmaitsze postacie: to palacz, to tenor, to introligator, syn szanowanej rodziny, młodzieniec, starzec, komiwojażer z marsylii, lekarz rosyjski lub torero hiszpański!

Proszę, zdajcie sobie jasno sprawę z położenia: Arseniusz Lupin, przechadzający się w ciasnym obrębie parostatku... co mówię... w małym kąciku,

przeznaczonym dla pasażerów pierwszej klasy, gdzie się wszyscy spotykają ze sobą co chwila i na każdym kroku: w jadalni, w salonie, w palarni! Arseniusz Lupin to może właśnie ten pan... nie to tamten... a może to mój sąsiad z table d'hotelu... lub może współlokator z kajuty...

— Pomyśleć tylko, że niepewność trwać będzie jeszcze całych pięć dni! — woła nazajutrz miss Nelly Underdown — ależ to nie do zniesienia! Mam nadzieję, że go wreszcie zaaresztują!

Poczem, zwracając się ku mnie, dodała:

— Proszę pana, panie d'Andrézy, czyż to być może, aby pan, będąc w tak dobrych stosunkach z kapitanem, nie wiedział nic?

Pragnąłem niezmiernie cośkolwiek wiedzieć, aby się przypodobać miss Nelly! Była to jedna z tych uroczych istot, które wszędzie, gdzie się tylko ukażą, zajmują zawsze miejsce najwybitniejsze. Piękność ich olśniewa narówni z bogactwem. Mają swój dwór, wielbicieli, entuzyastów.

Wychowana w Paryżu przez matkę francuskę, wracała właśnie do ojca, miliardera w Chicago. Towarzyszyła jej przyjaciółka, lady Jerland.

Od pierwszej chwili stanąłem w liczbie kandydatów do flirtu. Szybkie tempo podróży prędko stopiło lody konwenansów, atmosfera się ociepliła i urok miss Nelly oczarował mnie tak silnie, że do zwykłego flirtu czułem się już niezdolny, szczególniej, gdy jej duże czarne oczy spotykały się z mojemi. W odpowiedzi na mój gorący, nieskrywany zachwyt z oczu tych zdawała się płynąć ku mnie jakaś nieuchwytna, nieokreślona sympatya. Hołdy me przyjmowała z wyraźną łaskawością. Raczyła śmiać się z moich dowcipów. Interesowały ją moje opowieści.

Jeden tylko, jedyny rywal mógłby zakłócić mój spokój — wcale ładny chłopak, elegancki, zamknięty w sobie.

Zdawało mi się chwilami, że jego mrukowatość pociąga miss Nelly więcej, niż moje swobodne obejście się paryżanina.

Gdy piękna Amerykanka zwróciła się do mnie z powyższem zapytaniem, on też znajdował się w grupie otaczających ją wielbicieli. Było to na pokładzie. Leżeliśmy na wygodnych bujakach. Po wczorajszej burzy niebo było jasne, czyste. Pogoda cudna.

— Nie mam szczegółów bliższych — odparłem — możemy jednak sami przeprowadzić śledztwo równie dobrze, jak byłby to uczynił stary Ganimard, osobisty nieprzyjaciel Arseniusza Lupin.

— Ho, ho... Zagalopowuje się pan daleko?

— Dlaczego? Czyż zadanie, istotnie, wydaje się pani tak zawiłem?

— Niezmiernie.

— Zapomina pani o danych, jakie posiadamy.

— Jakich mianowicie?

— 1) Lupin figuruje pod nazwiskiem, rozpoczynającem się od litery R.

— Wskazówka bardzo niejasna.

— 2) Podróżuje sam.

— Czyżby ten szczegół panu wystarczał?

— Jest blondynem.

— A więc?

— A więc pozostaje nam tylko przejrzeć listę pasażerów i zastosować metodę podstawienia.

Listę miałem w kieszeni. Wyjąłem ją, szybko przebiegając wzrokiem.

— Przedewszystkiem zaznaczam, że tylko trzynaście osób nosi nazwisko, rozpoczynające się od owej znamiennej litery.

— Tylko trzynaście?

— Mówię o pasażerach pierwszej klasy. Z tych trzynastu panów R, dziewięciu podróżuje z żonami, dziećmi i służbą. Pozostają więc cztery osoby pojedyncze: markiz de Ravezdan...

— Sekretarz ambasady — przerwała miss Nelly. Znam go osobiście.

— Major Rawson...

— To mój wój — odezwał się ktoś z obecnych.

— Pan Rivolta...

— Jestem — zawołał jeden z grupy panów, wysoki włoch z twarzą przysłoniętą olbrzymią brodą przedziwnej czarności.

Miss Nelly wybuchła śmiechem.

— Pan wcale nie jest blondynem.

— W takim razie — zacząłem — zmuszeni jesteśmy wyprowadzić wniosek, że winowajcą jest ostatni z listy.

— To znaczy?...

— To znaczy pan Rozaine. Kto z panów zna pana Rozaine?

Zapanowało milczenie. Miss Nelly, spoglądając na młodego człowieka, którego wyraźne zajęcie się nią irytowało mnie srodze, zapytała:

— Cóż panie Rozaine? Nic pan nie odpowiada?

Wszystkie oczy skierowały się ku niemu. Był blondynem. Wyznaję, uczułem w tej chwili coś jakby ukłócie w sercu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NR 12

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

(Ciąg dalszy.)

— A! nie dla siebie.. nie — rzekł z zapałem Skiba — pytam was, ale dla ojczyzny... Niech dziś umrę na mękach, byleby ona wstała z chorągwią zwycięzką!

— A wola Pańska? a wyroki Jego? wybyście je złamać chcieli?... nie... stanie się co przeznaczył — amen.

„I będzie ziemia Egipska pustynią i spustoszeniem; a poznają żem Pan, za to żeś mówił — Moja jest ręka i jam ją uczynił...

„I dam ziemię Egipską pustą w pośrodku ziem pustych, a miasta jej w pośrodku miast zburzonych i będą puste... czterdzieści lat, a Egipcyany rozproszę między narody i rozwieję je po ziemiach (Ezech. 29)

Mówiąc to, gdy kończył, zapłakał, puściły się łzy Skibie i tak w milczeniu owi starce stojąc, łykali łzy, a nie mówiąc słowa poili się boleścią.

W tem zapukano do drzwi, w progu ukazał się Kazimierz Pułaski, którego na pierwszy rzut oka ciężko było poznać, bo i twarz przez tę godzinę zmieniła my się pod naciskiem troski — i strój był przywdział niezwykły.

Ubierał się zwykle p. Pułaski po husarsku a jak to było w obyczaju dla dowódzców nie szczędząc galonów, guzów i sznurów, a teraz włożył prostą szaraczkową taratatkę, a w ręku miał granatową czapkę z siwym barankiem... Twarz była czarna i posępna.

Ujrzawszy go żebrak szepnął Skibie:

— Idź po swego chłopca, nie trzeba czasu tracić.

— Po kogo? — spytał dosłyszawszy Kazimierz.

— Daje ci Bóg poczciwego towarzysza — którego potrzeba wziąć z sobą, bo się krajowi przydać może... niech idzie na surową szkołę wygnania. Nie znasz go ani z imienia ani nazwiska; ale oto ten zań ręczy i prosi za nim.

— Modlę się — dodał Skiba.

— Każecie, wezmę — rzekł łagodnie przybyły — ale ojcze, ojcze! na tę drogę wygnania, nędzy i tęsknoty za krajem, za ojczyzną ukochaną... a! daj mi krzyż swój i błogosławieństwo... błogosławieństwo Abrahama i Jakuba, któreby ulżyło

bolu a pomagało dźwigać ciężar... Zlituj się słabości ludzkiej.

Właśnie gdy to mówił, starzec z pod sukni dobył kilka par szkaplerzy i żegnając je drżącą dłonią, modlił się.

— Jedne z nich są dla ciebie, te dla twych towarzyszów. Zawieś je i noś na sobie... będą ci bronią i puklerzem. Jeśli z piersi twych znikną... nie lękaj się ale przygotuj umrzeć po chrześciańsku... będzie to bowiem oznajmieniem rychłego końca. Bóg da ci to hasło, gdy powołać zechce... A teraz... nie marudźcie, czas wam w drogę... w imię Ojca i Syna ....

I na schylonego włożył szkaplerze... Pułaski rozpiął suknią aby je na piersi uwiesić i pocałował w rękę starca.

Prawie w tejże chwili Skiba przyprowadził Karola, na którego ciekawie oczy się wszystkich zwróciły.

Stał blady i pomieszany przed Pułaskim... Żebrak długo nań patrzał, a powoli badając go, wyjaśniała mu się twarz, bo poczuł, że czystą, dziewiczą i szlachetną istotę miał przed sobą... jeszcze w zetknięciu ze światem niepokalaną.

— Słuchaj, dziecko — odezwał się — droga wygnania cię czeka... Bić się już dłużej teraz wzbroniono, taki jest ordynans Boży, póki on znów nie powoła.. Chcesz iść z p. Pułaskim? nie żal ci rodziny, domu... kraju?

— A! żal mi, mój ojcze... alem poprzysiągł poświęcić się cały ojczyźnie.. pójdę gdzie jej użytecznym być mogę.

— Jakże w rozproszeniu, na tułactwie służyć będziesz tej ojczyźnie umiłowanej? powiedz mi?

— Nauczcie mnie.

— Służ jej cnotą twą — noś w sobie ojczyznę polską, a pomnij, że świat w tobie ją widzieć będzie i z ciebie sądzić o macierzy twej. Każde słowo i czyn twój na nią spadną, każda plama twa ją zwala, każda zasługa ozdobi.

— W domu, synu, myśmy między swoimi na gnieździe, drzwi zaparte... Bóg tylko widzi i sądzi; ale jak wychodząc za wieś chłopak bierze odzież czystą, aby sądzono z niej o zamożności chaty, tak i mi musimy iść odziani poczciwością, aby z nas o Polsce wnoszono, a nie powiedziano o niej — jest legowiskiem niepoczciwych. Dziecko moje, pomnij te słowa, bo wielu ich nie poczuje w sercu, a sromem nas pokryją.

To mówiąc włożył mu na szyję poświęcone szkaplerze.

— Pójdziesz w świat, powiedzą ci niedowiarkowie, to kawałki sukna i szychu... to stare szmaty zabobonnym ludziom, niewiastom i dzieciom tylko drogie... ale zaprawdę, wierz mi, że duch Boży mocen jest mieszkać w szmacie i odrobince kamienia i wszędzie, gdzie chce; bo wszechmocen jest... a kto wierzy w siłę, ten ją ma... a komu świętość jest łachmanem, ten sam łachmana nie wart, bo w ciało wierzy, a nie w ducha, który z prochu i nicości światy — zlepił.

— A teraz idźcie pielgrzymi, idźcie na świadectwo narodom, wysłańcy boleści, idźcie pokazać światu, że na tym zbawionym przez Chrystusa, a do braterstwa powołanym świecie są ludzie bez ojczyzny, bez braci, bez dachu... którym odebrano wszystko... a nie ulitował się... nikt.

— Idźcie! Bóg niech będzie nad wami.

Tu zamilkł nagle, oczy mu zajaśniały ogniem dziwnym, podniósł wysoko rękę ponad głowę, potem ręce obie, czoło, oczy... milczał... jakby z Bogiem rozmawiał.

— Na świadectwo, że mnie posłał Pan, i że rozkaz jego pełnię, abyście uwierzyli... w imię Trójcy przenajświętszej... niech piorun uderzy!!

Chwila, trwoga była i milczenie, przed oknami przeleciał blask ognisty i straszny grom rozległ się wśród murów, dalekiem echem odbijając się po otaczających wzgórzach.

Ksiądz Marek padł na kolana.

Kilku jeźdźców wyszło furtą wycieczki z klasztoru i milcząc puścili się drogą ku granicy.

A gdy przyszło rozstać się z Polską i przekroczyć ostatnią rubież jej... dopiero wstrzymali konie wszyscy... a odwróciwszy twarze ku wschodowi, klękli się modlić... żegnając w duszy wszystko, wszystko co rzucali za sobą. Potem wstał p. Pułaski i ujął garść ziemi polskiej, a z poszanowaniem pocałowawszy ją, zawinął i obok świętości na piersiach zawiesił.

— Jeśli umrę na obczyźnie — rzekł — tą ziemi garstką zasypiecie mi oczy. Jeśli żyć mam, nosząc ją w każdej chwili, pamiętać będę, żem jej winien wszystko; żem żyć nie godzien, jeżeli o niej zapomnę, i wstyd jej przyniosę!

Od tej to garstki ziemi, wziętej przez Pułaskiego, gdy rzucał Polskę, obyczaj powstał tułaczy, iż każdy z sobą nosi na piersi szczyptę ojczystej ziemi... i że ją pierwszą rzucają na mogiłę wygnańca. Sit ei levis.

Koniec księgi trzeciej.

KSIĘGA IV.

Tułactwo.

Gdy się wyroki Boże spełnić mają nad narodem, a przyjdzie ona godzina ostateczna, o której żaden żywy człowiek nie wie; naówczas ziemia drży, w powietrzu chodzi głos Boży, szumi w falach wichrowych, w snach opowiada się śpiącym, płaczą w kolebkach niemowlęta jak gdy ma nadejść burza.

Trwożliwi sami nie wiedzą skąd im przylatują myśli złowrogie i rozpraszają się przelękli, kędy ich czeka kara, błogosławieństwo... przeznaczenie nieuniknione.

To przeczucie losów, przed dniem wielkim jest znamieniem palca Bożego. — Nikt jeszcze nie posłyszał gromu ani zwiastuńczego głosu, jeszcze się nie zatrzęsła ziemia pod stopami, nie rozdarła zasłona w świątyni, a już w pogodnem niebie, w czystem powietrzu czuć... nadchodzące zniszczenie.

Idzie anioł niewidzialny co z mieczem ma stanąć w bramach raju, nie postrzegły go oczy, a drżą przed nim dusze.

Tak było w Polsce w przeddzień rozproszenia.

Dla czego szalały tłumy i upajali się ludzie małego serca i na stosach Sardanopola palili się król i radni jego i ci co okropności zgonu przenieść nie mogli? — bo widzieli już przed sobą dzień sądu i kary.

Dla czego nikt nie porwał się i nie powołał ludu ku obronie? bo wszyscy niemoc nadchodzącą, ów paraliż, którym tknął Bóg, czuli na duszy.

Były to zaprawdę dnie straszne, owe dnie, zwiastujące rozproszenie narodu i uprowadzenie go w niewolę.

Jak z gniazda wyrzucone orlęta, podnosili ludzie rozbitych i nieśli, urągając się ich kalectwu. Reszta sama biegła jakby oszalała rozpaczą.

Jedni nie zmuszeni, strwożeni tylko, wylękli, opuszczali ziemię ojczystą, jakby się ona otworzyć pod ich stopami i pożreć ich miała... biegli niewiedząc dokąd, szukać na wygnaniu tęsknoty i mrzeć nie z ręki kata ale z suchot duszy i sumienia.

Drugich siła i przemoc porywały od ołtarzy, z domów spokojnych i gnały między dzicz tatarską, na lodowe krańce pustyń azyjskich...

Innym jeszcze marzyło się, że zrobią ojczyznę, jakby można stworzyć drugą matkę!

Inni szli z zakrytemi oczyma, aby umierać nie widząc zbezczeszczonej ojczyzny, obalonych świątyń, zbluzganych ołtarzy i chodzących w pętach ludzi wolnych.

Nakoniec byli co biegli szaleć aby zapomnieć przeszłości.

A byli i tacy, którzy łatwo wdziewali nową skórę i przebierali się za generałów moskiewskich, za feldmarszałków austryackich i za pruskich lokajów lub szambelanów.

Któż zliczy, ile rodzajów tułaczów i tułactw, wygnańców i wygnania zrodziła ta godzina; ilu wędrowców po niewoli lub po woli opuszczało kraj jak szczury wynoszą się z okrętu co ma spłonąć, jak ptacy z gniazda na drzewie, które ma wicher obalić.

Była w tem jakaś mistyczna siła... niepojęta. Źli i dobrzy, często nawet najgorsi kochali przecież ten kraj; każdy prawie w sakwie podróżnej niósł garść ziemi rodzinnej, a w duszy tęsknotę po niej — przecież każdy tchórzliwie siebie ocalał tylko, bo siebie kochał najwięcej.

Począwszy od króla, który śnił o abdykacyi i chciał jako dyletant umierać pod włoskiem niebem, spokojnie — sprzedawszy kraj za cukierek — począwszy od tego nieszczęśliwego króla, marzącego o Włoszech, a mającego skończyć życie nad Newą, włóczony za tryumfalnym wozem zwycięzcy, uciekali lub pragnęli uciec wszyscy od grożącego kataklizmu.

Stary życia porządek runął, zwichnęły się osie jego, nowego stworzyć nikt nie miał mocy, na to się składają wieki.

Ostatnie dnie dogorywającej konfederacyi były także włączęgą: z Turcyi na Waradyn, szedł Krasiński do Węgier, gonił go zwaśniony z nim Potocki, kłócono się w Preszowie za radziwiłłowskim stołem, pijąc Tokaj i przeklinając zdrajców; potem wygnana jeneralność biegła do Cieszyna i Białej, potem jękami tylko znaczyła drogę wygnania z Braunau, Augsburga, Lindawy.

Na wszystkich gościńcach, po wszech dworach Europy tułało się polskie sieroctwo, wycierając przedpokoje tych, którzy je zbywali — westchnieniami.

We Wiedniu Pac i Jabłonowski napróżno modlili się do Kaunitza, próżno inni biegli do Drezna szukać nadziei u królewicza, który poślubiwszy Polkę, już miał czas dla niej zobojętnieć i o jej ojczyźnie zapomnieć. Garnęli się tu ci, co w słabej Saksonii dla słabszej jeszcze Polski wyglądali posiłku.

Pełno było tych dyplomatów improwizowanych, na dworze Ludwika, u wrót Porty ba na-

wet w pokojach Fryderyka, choć ten przynajmniej nie obiecywał nic, a co mógł, zagarniał pod siebie.

Było to królestwo w dorobku...

Zawczasu poczęły się te bieganiny po świecie, gnała losu ręka niewidzialna po rozdrożach, za morza, gdzie wprzódy imie i stopa Polaka nie postała.

Kościuszko sposobił się do wielkich przeznaczeń pod bokiem Washingtona, marząc w ogródku w West-Point o Polsce wśród krzaków bzu, przypominających wiosnę naszą.

Beniowski konfederat dla miłości swobody zabiegł pod biegun północny, o nieznanych marząc światach, o wyrąbanych królestwach i podbojach, które mu może powieści Dzierżanowskiego w bujnej wyobraźni zasadziły.

Tam pod śniegami Sybiru rozpoczynała już Moskwa kolonizacyą niewoli, głodu i nędzy, ów nieludzki rozsadnik nieszczęścia, któremu każdy stan, wiek i niedola, każdy rok przez secinę lat miał dostarczać nowych ofiar. Senatorów, kapłanów, niewiasty, dzieci, najwyższą cnotę skuwano ze zbrodnią śląc na śmierć, aby ją zohydzić i utopić w bezcześci.

Kto raz dostał się w ten kraj nocy i śniegu, cudem chyba wyrwał się z niego na światło Boże; jak Beniowski, jak Kopeć, jak ów Thesby de Bellecourt, jak Bazylian Ochocki.

Upiór co powracał z tego świata umarłych, niósł powieść o nim jak bajka straszną i cudowną...

Sypały się groby w nierozmarzającej ziemi wykute, przechowującej zarówno mamuty dla naturalistów i ofiary katów na sąd Boży.

Bez wojny, bez sądu, w ciche wieczory zimowe zajeżdżały kibitki pod spokojne dwory i przez tę niby wolną jeszcze ziemię rzeczypospolitej — całą, niepodległą!! wieźli siepacze Carycy tych, co śmieli być ludźmi nie niewolnikami.

W tem wszystkiem któż nie dojrzy palca Bożego? mówiło z tych wypadków przeznaczenie narodu, tułacze a męczeńskie.

Ale strasznym wyrokom serca uwierzyć nie chciały.

Ileż to stworzono bańkowych nadziei, aby nie umrzeć z rozpaczy? ile wymyślono poemaótw politycznych, ile stworzono przyjaciół i sprzymierzeńców, ilu Wernihorów obiecywało dzień zbawienia, konie tureckie pławiące się w Wiśle i senne bitwy na Hończarysie?

Ileż to zwycięstw przespaliśmy wśród męczeństwa — wygranych w marzeniu — ile proroctw nieziszczonych a tak jasnych, jakby były dziejami przyszłości, nie chorobliwą zmorą ginących z tęsknoty.....?

Niezbłagane dzieje niedoli pisał wciąż palec Boży na coraz czarniejszych kartach.

A matki u kolebek swych dzieci stojąc mówiły im:

— Wy dożyjecie Polski! A starce czekając na nią konać nie chcieli... aby umierając choć na chwilę białego orła lecącego w tryumfie zobaczyć.

W chwili, gdy Europa, gdy świat roznamiętniał się dla dobijającej o swobodę Ameryki, gdy Franklin szarą swą opończą obudzał entuzyazmy Francyi, gdy dwudziestoletni Lafayette płynął, życie niosąc dla ludu bohaterów na drugą półkulę; gdy Rousseau głosił przyszłą utopią wolności, a Anglia nawet okrzykiwała bohatera Fabiusa — Washingtona; — dla biednej Polski co ginęła przez wolność i dla wolności, nikt nie miał nic prócz chłodnego politowania. Sprawa święta za morzami niemal potępioną była w Europie: spadkobiercy wolnej niegdyś Polski szli w kajdanach na Sybir, lub w łachmanach na tułactwo, a Voltaire filozof wielbił posłannictwo cywilizacyjne Katarzyny.

Posyłała mu wprawdzie za to Katarzyna tak piękne futra i kupowała w jego fabryce tyle zegarków!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Niniejszy numer jest przedostatnim w bieżącym kwartale. Kto niechce doznać przerwy w odbiorze numerów, niech jak najrychlej odnowi przedpłatę.

ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

W miejscu tego człowieka, którego głos i broń tyle dojmującego sprawiły i sprawiały jeszcze na nim wrażenia, nie byłby on zabijał osobę wziętą za szpiega, lecz wtrąciłby ją do ogrodu i tam, równą bronią, z szablą w ręku, byłby z nią walczył bez litości, na zabój. Tak byłby postąpił Maurycy.

Atoli zrozumiał wkrótce, że od garbarskiego wyrobnika nie mógł wymagać tego, czegoby wymagał od siebie.

Ten to człowiek o ostatecznych środkach, zdający się w swoich politycznych pojęciach, równie gwałtownym powodować się systemem jak i w prywatnem postępowaniu, mówił o więzieniu w Temple i dziwił się, że straż nad tamtejszemi więźniami, powierzono nieustającej radzie, łatwej do ujęcia, i urzędnikom, których wierność nieraz już przełamać usiłowano.

— Tak jest — powiedział obywatel Morand — lecz wyznać należy, że dotąd w każdem zdarzeniu, postępowanie urzędników usprawiedliwiało ufność jaką w nich naród pokłada, a historya powie kiedyś, że sam tylko obywatel Robespierre zasłużył na przydomek nieskazitelnego.

— Bezwątpienia, bezwątpienia — przerwał rozmawiający — lecz niedorzecznem jest utrzymywać, że to, co dotąd nie miało miejsca, już go nigdy mieć nie będzie.

— Tak samo rzecz się ma z gwardyą narodową — mówił dalej naczelnik warsztatu — i cóż! kompanie rozmaitych sekcyi po kolei odbywają służbę w Temple i to bez wyjątku. Nie przypuszczacież więc! że w kompanii złożonej z dwudziestu lub dwudziestu pięciu ludzi, znaleźć się może ośmiu lub dziesięciu łotrów zdeterminowanych, gotowych którejkolwiek nocy wyrznąć straże i wykraść uwięzione osoby.

— Ba! — odezwał się Maurycy — widzisz jednak obywatelu, że to zły środek, bo przed trzema tygodniami czy przed miesiącem, chciano go użyć, ale się nie udał.

— Tak jest — zaczął znowu Morand, gdyż jeden z arystokratów składających patrol, był tyle nierozsądnym, że mówiąc, nie wiem do kogo, wyrwał się z wyrazem panie.

— A potem — rzekł Maurycy, któremu chodziło o udowodnienie, że Rzeczpospolita ma dobrze zorganizowaną policyę — ponieważ dowiedziano się, że kawaler de Maison-Rouge jest znowu w Paryżu.

— Ba! — zawołał Dixmer.

— Wiedziano, że Maison-Rouge przybył do Paryża? — obojętnie zapytał Morand — a wiedzianoż jakim sposobem przybył?

— Doskonale.

— Tam do licha! — rzekł Morand pochylając się naprzód — aby zajrzeć Maurycemu w oczy. Ciekawy byłbym dowiedzieć się o tem, dotąd nic nam pewnego w tym względzie nie doniesiono. Ale ty obywatelu, jako sekretarz jednej z głównych sekcyi w Paryżu, powinieneś być lepiej zawiadomiony?

— Niezawodnie — odrzekł Maurycy — jakoż to co powiem, jest istotną prawdą.

Wszyscy biesiadnicy, a nawet Genowefa zdawali się z najwyższą uwagą oczekiwać opowiadania młodzieńca.

— Kawaler de Maison-Rouge — mówił Maurycy — jak się zdaje, przybył z Wandei; ze zwykłem sobie szczęściem przejechał całą Francyę; dzień jeszcze był, gdy stanął przy rogatkach du Roule, czekał więc tam, aż do godziny dziewiątej, jakaś kobieta przebrana w suknie pospolitego ludu, przeniosła kawalerowi przez te rogatki ubiór strzelca gwardyi narodowej; w dziesięć minut potem znowu wraz z nim wróciła. Placówka, która ją poprzednio samą jedną idącą widziała, powzięła podejrzenie, spostrzegając, że wraca w towarzystwie. Narobiła więc hałasu i cały poste-

runek wystąpił. Dwaj winowajcy zrozumieli, że o nich zapewne chodzi, uciekli i wpadli do pałacu przez który tylnemi drzwiami dostali się na Elizejskie pola. Jak się zdaje patrol zupełnie poświęcony królewskiej rodzinie oczekiwał kawalera na rogu ulicy Barre-du-Bec, resztę już wiecie.

— Ah! ah! — rzekł Morand — jakże ciekawe rzeczy nam pan opowiadasz .

— A nadewszystko pewne — wtrącił Maurycy.

— W istocie, tak się zdaje, ale czy wiedzą co się stało z kobietą?

— Nie, zginęła bez żadnego śladu i niewiadomo wcale co to za jedna.

Zdawało się, że obywatel Dixmer i jego wspólnik swobodniej odetchnęli.

Genowefa słuchała całego opowiadania, blada, nieruchoma i milcząca.

— Lecz — spytał obywatel Morand ze zwykłą sobie zimną krwią — któż może utrzymywać z pewnością, że kawaler de Maison-Rouge należał do patrolu, który w Temple tyle narobił trwogi?

— Jeden urzędnik, a przyjaciel mój, który tego dnia był na służbie w Temple, poznał go.

— Miał więc jego rysopis?

— Nie, ale go dawniej widział.

— I jakże wygląda ten kawaler de Maison-Rouge? — spytał Morand.

— Ma lat dwadzieścia pięć lub sześć, mały, blondyn, twarzy przyjemnej, oczu przepysznych, zębów bieluteńkich.

Nastąpiło głębokie milczenie.

— A więc! — odezwał się Morand znowu — jeżeli ten pański przyjaciel poznał mniemanego kawalera de Maison-Rouge, dlaczegoż go nie aresztował?

— Najprzód, nie wiedząc o jego powrocie do Paryża, lękał się, aby go nie uwiodło podobieństwo, a potem przyjaciel mój jest nieco za delikatny, idąc zatem drogą rozsądku i delikatności, w wątpliwej chwili wstrzymał się.

— Oho! tybyś inaczej był postąpił obywatelu? — rzekł Dixmer do Maurycego z głośnym śmiechem.

— Tak jest — odpowiedział Maurycy — wyznaję, że byłbym wolał omylić się, niż wypuścić z rąk moich równie niebezpiecznego człowieka jak kawaler de Maison-Rouge.

— I cóż byłbyś pan uczynił? — spytała Genowefa.

— O! mocny Boże! krótkobym rzecz całą skończył obywatelko — odrzekł Maurycy — kazałbym pozamykać wszystkie drzwi w Temple; przystąpiłbym do patrolu i chwytając kawalera za kołnierz, rzekłbym: „Kawalerze de Maison-Rouge, aresztuję cię jako zdrajcę narodu“, a skorobym go tylko schwytał, oh! ręczę żebym go już więcej nie puścił.

— Lecz cóżby wówczas nastąpiło? — spytała Genowefa.

— Wytoczonoby proces jemu i jego wspólnikom i w tej może chwili byłby gilotynowany.

Genowefa zadrżała, rzuciła na swego sąsiada pełne trwogi spojrzenie.

Ale obywatel Morand niezdawał się wcale zważać na nie i powoli wypróżniając szklankę, rzekł:

— Obywatel Lindey ma słuszność, to tylko pozostawało do czynienia; nieszczęście jednak chciało inaczej.

— A nie wiadomo co się stało z kawalerem de Maison-Rouge — spytała Genowefa.

— Bah! — zawołał Dixmer — zapewne nie czekał reszty, ale widząc zamach swój zniweczonym, niezwłocznie umknąć musiał z Paryża.

— A może nawet i z Francyi — dodał Morand.

— O! wcale nie, mylicie się — odpowiedział Maurycy.

— Jakto! był tyle nierozsądnym, że pozostał w Paryżu — zawołała Genowefa.

— Ani się z niego nie ruszył.

Zdanie to z taką pewnością wygłoszone przyjęto powszechnem zdziwieniem.

— To tylko twój własny domysł, obywatelu, domysł prosty i nic więcej.

— O! nie, to jest fakt prawdziwy.

— Co do mnie — odezwała się Genowefa — przyznam się, że nie wierzę ci obywatelu; byłaby to nie do darowania nieostrożność.

— Jesteś kobietą, obywatelko i dlatego zrozumiesz, że w człowieku z charakterem kawalera de Maison-Rouge, jedna okoliczność mogła przeważyć wszelkie względy osobistego bezpieczeństwa.

— I cóż to za okoliczność tyle silniejsza nad obawę postradania życia w sposób jak najokropniejszy?

— Eh! dla Boga, obywatelko — odrzekł Maurycy — to miłość.

— Miłość! — powtórzyła Genowefa.

— Nie inaczej. Alboż nie wiesz obywatelko, że kawaler de Maison-Rouge kocha się w Antoninie?

Tu wybuchły dwa czy trzy śmiechy pełne bojaźliwego i przymuszonego niedowierzania.

Dixmer spojrzał na Maurycego wzrokiem, którym chciał czytać w głębi jego duszy.

Genowefa poczuła łzy w oczach, i po całem jej ciele przebiegł dreszcz, który nawet Maurycy dostrzegł.

Obywatel Morand rozlał wino z swej szklanki, którą właśnie niósł do ust, i Maurycy byłby dostrzegł jego bladość, gdyby całą uwagę nie zwracał na Genowefę.

— Jesteś wzruszona obywatelko? — szepnął Maurycy.

— Czyliżeś nie powiedział panie, iż zrozumiem, bom kobieta? W istocie, każde poświęcenie, choć nawet najprzeciwniejsze zasadom naszym, zawsze wzrusza serce kobiety.

— Poświęcenie kawalera de Maison-Rouge jest tem większe — dodał Maurycy — że jak zapewniają, nigdy nawet nie mówił z królową.

— No proszę! obywatelu Lindey — rzekł człowiek o ostatecznych środkach — przebacz, ale uważam, że zbyt jesteś pobłażliwym dla kawalera..

— Panie! — odparł Maurycy umyślnie może używając wyrażenia, którego już dawno zaniechał — lubię zawsze dzielność i odwagę; to jednak mi nie przeszkadza w walce przeciw nim, skoro je spostrzegam w szeregach moich nieprzyjaciół. Mam też nadzieję, że kiedyś spotkam się z kawalerem de Maison-Rouge.

— I wtedy... — wtrąciła Genowefa.

— Wtedy... rozumie się, walczyć z nim będę

Wieczerza skończyła się.

Genowefa wstała, inni poszli za jej przykładem.

W tej chwili zegar dał się słyszeć.

— Północ — powiedział Morand!

— Pólnoc! — zawołał Maurycy — już północ!

— Otóż to wykrzyknik co mi się podoba — rzekł Dixmer — przekonywa mię, żeś się nie znudził obywatelu, i każe mi wnosić, że nas znowu odwiedzisz. Dobry patryota otwiera ci swój dom, i ma nadzieję, iż poznasz wkrótce, że może być także i dobrym przyjacielem.

Maurycy ukłonił się i zwracając mowę ku Genowefie spytał:

— Czy obywatelka raczy także pozwolić abym znowu dom jej nawiedził?

— Owszem, nie tylko pozwalam, ale nawet proszę — żywo odpowiedziała Genowefa — a tymczasem żegnam cię obywatelu.

I to mówiąc odeszła do swoich pokoi.

Maurycy pożegnał wszystkich biesiadników, uniżenie pozdrowił Moranda, który mu się bardzo podobał, ścisnął dłoń Dixmera i wyszedł roztargniony, ale raczej rad jak smutny z powodu tak rozmaitych tego wieczora wypadków.

— O! złe, złe spotkanie! — rzekła po odejściu Maurycego młoda kobieta zalewając się łzami do męża, który ją odprowadzał.

— Owszem! przeciwnie, obywatel Maurycy Lindey, znany patryota, sekretarz sekcyi, czysty, uwielbiany, popularny, zbyt jest kosztownym nabytkiem dla biednego garbarza, przechowującego przemycane towary — z uśmiechem odpowiedział Dixmer.

— Sądzisz więc mój przyjacielu? — bojaźliwie spytała Genowefa.

— Sądzę, że nadaje on domowi naszemu przywilej patryotyzmu, że kładzie na nim pieczęć rozgrzeszenia; sądzę, że od dzisiejszego wieczoru sam nawet kawaler de Maison-Rouge bezpiecznie mógłby się u nas ukrywać.

I ucałowawszy swą żonę w czoło na dowód raczej ojcowskiego niż małżeńskiego przywiązania, Dixmer zostawił ją w owym małym pawilonie całkiem dla niej przeznaczonym, a sam wrócił do drugiej części budowli, gdzie zamieszkiwał wraz z współbiesiadnikami, których przy stole pozostawiliśmy.

X.

Simon partacz.

Nadszedł maj: piersi z rozkoszą napawały się pogodą dnia wiosennego, a delikatne promienie ożywczego słońca padały na czarne mury Temple.

Żołnierze trzymający tam straż przechadzając się po wewnętrznym dziedzińcu, dzielącym wieżę od ogrodu, śmiali się lub palili fajki.

Lecz mimo pogody, mimo udzielonego pozwolenia, trzy więzione kobiety nie wyszły do ogrodu. Królowa, od śmierci męża, jakby na przekorę przesiadywała w swoim pokoju, nie chciała bowiem przechodzić obok apartamentów na drugiem piętrze, które dawniej król zajmował.

Od tej nieszczęsnej chwili w dniu dwudziestym pierwszym stycznia, dostojna uwięziona niekiedy tylko używała świeżego powietrza na szczycie wieży, której otwory wprzód żaluzyami pozasłaniano.

Służbowi gwardziści uprzedzeni, że pozwolono trzem kobietom na przechadzkę, napróżno oczekiwali dzień cały, bo uwięzione nie raczyły z pozwolenia tego korzystać.

Około godziny piątej jakiś człowiek zeszedł i zbliżył się do sierżanta dowodzącego posterunkiem.

— Ah! ha! to ty ojcze Tison — rzekł wesoło gwardzista.

— Tak, to ja obywatelu, urzędnik Maurycy Lindey, twój przyjaciel, będący tam na górze, posyła ci przezemnie pozwolenie, udzielone przez radę mojej córce, aby dzisiejszego wieczora odwiedziła swoją matkę.

— A ty wychodzisz wówczas, gdy córka twoja ma przybyć, wyrodny ojcze! — powiedział sierżant.

— O! ja z musu wychodzę obywatelu sierżancie. Cieszyłem się także, iż będę mógł uściskać moje biedne dziecię, którego już od dwóch miesięcy nie widziałem... i to uściskać prawdziwie po ojcowsku. Ale, cóż chcesz, kazano, trzeba słuchać, oj ta służba przeklęta! ona to zmusza mię wyjść. Muszę złożyć gminie raport. Doróżka i dwóch żandarmów czekają na mnie u bramy i to właśnie w chwili kiedy moja biedna Zofia ma przybyć.

— Nieszczęśliwy ojcze — rzekł sierżant.

Tak to miłość Francyi
Głuszy w tobie głos krwi
Jedna jęczy, druga...

— Słuchajno ojcze Tison, gdybyś przypadkiem znalazł rym na cyi, to mi go przywieź. Bo mi go w tej chwili zabrakło.

— A ty obywatelu sierżancie, skoro moja córka przyjdzie odwiedzić matkę, która umiera z niecierpliwości oglądania jej, wszak ją przepuścisz?

— Rozkaz jest jak się należy — odpowiedział sierżant, w którym zapewne czytelnik poznał już przyjaciela naszego Lorina — nie mam więc nic do nadmienienia, skoro córka twoja przybędzie, przepuszczę ją.

— Dziękuję, dzielny Termopilu, dziękuję! — rzekł Tison.

I mrucząc wyszedł dla zdania raportn gminie.

— Ah! jakże biedna moja żona będzie szczęśliwa.

— Wiesz co sierżancie — odezwał się jeden gwardzista usłyszawszy co mówił Tison odchodząc — podobne rzeczy aż do głębi przejmują?

— Jakie rzeczy, obywatelu Devaux? — spytał Lorin.

— Oto — zaczął znowu litościwy gwardzista — patrz na tego człowieka z twarzą tak surową, z sercem bronzowem, na tego nieugiętego ceklarza królowej. A wszakże człowiek ten odchodzi ze łzą w oku, na wpół radosną, na wpół bolesną, na myśl, że żona jego ujrzy swą córkę, on zaś nie! Oh! nie trzeba o tem myśleć sierżancie, bo doprawdy to bardzo przykro...

— W istocie, i dlatego też on sam o tem nie myśli, chociaż jak mówisz odchodzi ze łzą w oku.

— A o czemże miałby myśleć?

— O tem, że i ta kobieta, którą tak bez litości mordują, podobnie już od trzech miesięcy dziecka swego nie widziała. On nie myśli o jej nieszczęściu, ale o swojem i nic więcej. Prawda, że ta kobieta była królową — mówił dalej sierżant z szyderstwem, którego znaczenie trudno byłoby wytłómaczyć, i że nikt nie wymaga takich względów dla królowej, jakie się ma dla żony służbowego...

— Mniejsza o to, zawsze jednak wszystko to jest bardzo smutne — powiedział Devaux.

— Smutne, ale konieczne — odrzekł Lorin — najlepiej więc, jak powiedziałeś, nie myśleć o tem wcale...

I zaczął sobie nucić:

Nicetka biedna
W pośród gaiku,
Przy wdzięcznym strumyku
Szła sama jedna.

Wtem nagle w lewej stronie posterunku dał się słyszeć wielki hałas, pełen przekleństw, gróźb i płaczu.

— Co to jest? — spytał Devaux.

— To jakiś dziecinny głos — odpowiedział Lorin słuchając.

— W rzeczy samej — przerwał gwardzista — biją zapewne jakiegoś biednego malca; tu naprawdę, powinniby samych tylko bezdzietnych wysyłać.

— Będziesz ty śpiewał? — rzekł głos chrapliwy i opiły.

I jakby dla przykładu zanucił:

Pani Veto obiecała...

— Nie — odpowiedziało dziecko — nie będę śpiewać.

— Śpiewaj mi zaraz?

I głos znowu zaczął:

Pani Veto obiecała...

— Nie — odpowiedziało dziecko — nie, nie, nie.

— Ah! mały łajdaku! — wrzasnął głos chrapliwy.

I rozległ się w powietrzu świst pocięgla. Dziecię krzyczało z bolu.

— Ah! do kroćset! — rzekł Lorin — to ten niegodziwy Simon bije małego Kapeta.*)

Kilku narodowych gwardzistów wzruszyło ramionami, niektórzy nawet uśmiechali się. Devaux wstał i odszedł.

— Słusznie mówiłem — mruknął — że ojcowie nigdy tu przychodzić nie powinni.

Nagle otworzyły się małe drzwi i królewskie dziecię popędzane biczem swego strażnika, uciekając wbiegło na dziedziniec; lecz tuż za niem padło coś ciężkiego na bruk i ugodziło je w nogę.

— Ah! — wrzasło dziecię.

Zachwiało się i przyklękło.

— Przynieś mi tu formę, mała poczwaro, albo...

Dziecię podniosło się i ruszyło głową na znak, że odmawia.

— Ah! tak to słuchasz!... — krzyczał tenże sam głos — czekaj, czekaj, dam ja ci zaraz.

To mówiąc Simon partacz wyskoczył z swej budy, jak zwierz dziki z nory.

— Hola! hola! — zawołał Lorin marszcząc brwi — a dokąd to spieszymy tak mości Simonie?

— Chcę skarcić tego wilczka — odpowiedział partacz.

— A to za co? — spytał znowu Lorin.

— Za co?

— A tak.

— Bo ten mały łajdak ani chce śpiewać jak dobry patryota, ani pracować, jak dobry obywatel.

— No i cóż ci to szkodzi? — odrzekł Lorin. — Czy naród oddał ci Kapeta dla nauki śpiewu?

— Proszę! — powiedział zdziwiony Simon — w nieswoje rzeczy wtrącasz się obywatelu sierżancie?

— Jakto w nieswoje? Ja się wtrącam we wszystko co dotyczy człowieka z sercem. Jakoż niegodnie jest, aby człowiek z sercem obojętnie mógł patrzeć, jak ktoś niesłusznie bije dziecko.

— Bah! wszakże to dziecię byłego króla.

— Ale to dziecię nie miało żadnego udziału w przewinieniach swego ojca, to dziecię jest niewinne, dlatego też nie należy karać go.

— A ja powiadam ci, że pozwolono mi z nim robić, co mi się podoba. Chcę żeby śpiewało piosnkę pani Veto i musi śpiewać.

— Ależ, nędzniku, pani Veto, jest matką tego dziecięcia; czy chciałbyś, aby twemu dziecku kazano śpiewać, żeś ty jest bestyą?

— Ja! — ryknął Simon: — ah! niegodziwy arystokrato!

— Tylko bez obelg — powiedział Lorin — ja nie jestem Kapet... i mnie nie przymusisz do śpiewania.

— Ja cię każę aresztować, niegodziwy.

— Ty — krzyknął Lorin — ty każesz aresztować, mnie Termopila, spróbujno tylko.

— Dobrze, dobrze, obaczymy, kto z nas śmiać się będzie na końcu. Tymczasem Kapet, podnieś formę i pójdź dokończyć trzewik, albo do stu piorunów!...

— A ja — rzekł Lorin blady jak trup, postępując naprzód zacisnąwszy pięści i zęby — ja powiadam ci, że on nie podniesie twojej formy; że nie będzie robił twoich trzewików, czy słyszysz nikczemniku? Aha! masz widzę przy sobie twoje wielkie szablisko, ale nie boję się ani jej ani ciebie. Tylko spróbuj i wydobądź!

— Ah! do miliona pocięgli! — ryknął Simon pieniąc się ze złości.

W tej chwili dwie kobiety weszły na dziedziniec; jedna z nich trzymała papier w ręku i przemówiła coś do placówki.

— Sierżancie! — zawołała placówka — córka Tison chce się widzieć z matką.

— Przepuść, bo rada pozwala — rzekł Lorin nie chcąc obrócić się ani na chwilę, z obawy, aby Simon korzystając z jego roztargnienia nie bił znowu dziecka.

Placówka przepuściła obie kobiety; ale zaledwie wstąpiły na czwarty stopień ponurych schodów, spotkały tam Maurycego Lindey, który schodził na dziedziniec. Że zaś zupełnie już prawie ściemniło się, trudno mu było rozpoznać ich twarze.

Maurycy zatrzymał je.

— Kto jesteście, obywatelki? — zapytał — i czego chcecie?

— Ja jestem Zofia Tison — powiedziała jedna. — Pozwolono mi odwiedzić matkę i oto przybywam.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

---

*) Syna królowej Antoniny.

NAD SZPREWĄ.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Szczególniej uderzyła doktora ilość książek niemieckich, które stosami leżały na stolikach, na komodzie, na małym fortepianiku, zarzuconym też nutami.

— Widzę, że twoja żona wiele czytać musi.

— Bardzo wiele, to jej najmilsze zajęcie z muzyką — począł ożywiając się nieco Wolski. Nie tylko czyta, ale nawet pisze... pisze bardzo pięknie... „Gartenlaube umieszcza jej artykuły... Nadzwyczaj wykształcona... Niestety! nas Polaków zna tylko podobno z tego obrazu, jaki skreślił Freitag w „Soll und haben“ i to ją takim natchnęło wstrętem.

— Nie przeszkodziło jednak pójść za ciebie — przerwał doktor.

— Zdaje mi się, że Freitaga później przeczytać musiała.

— Ale się nie możesz skarzyć przecie, aby to osłabiło uczucie jej dla ciebie.

— O! bynajmniej — począł Wolski gorąco — to kobieta z sercem anielskiem, ja jej nie wart jestem...

— Mój drogi — odezwał się garbus — co do serca z pewnością nie ustąpisz nikomu.

— Głową, inteligencyą — zdolnościami, polotem myśli mnie prześciga — mówił — Wolski. Dla tego fraszką są ofiary materyalne, jakie uczyniła dla mnie, nieocenionem prawdziwie jest jej poświęcenie na tę samotność, brak ludzi, właściwego towarzystwa, świata inteligencyi, do którego jest stworzoną... Ona wśród nędzy tego powszedniego żywota, nieraz wśród kłopotów, które mi całą przytomność i ochotę do życia odejmowały, umiała zachować spokój ducha, który wzbudzał we mnie uwielbienie...

Garbus zmilczał, wszystko to jakoś mu się dziwnem wydawało i nie zupełnie zrozumiałem, jedno tylko było jasnem, że Wolski musiał być dosyć nieszczęśliwym.

— Będziesz więc czekał, aż ci tam przybyć pozwolą? — spytał po chwili.

— Muszę... dopóki Helma nie napisze mi, abym jechał, nie odważę się uczynić kroku.

Nędza i te lata długiej walki zabiły w nim wszelką samoistność, chcieć ją wlać w niego było już próżnem; garbus to sobie powiedziawszy, posiedział chwilę i pożegnał Kajetana, — który go do drzwi odprowadził.

Powróciwszy do domu doktor zajął się bieżącemi sprawami i trochę o drezdeńskiej przygodzie zapomniał. Czekali na niego chorzy, klienci, przyjaciele i mnóstwo interesów, w których zwykł pośredniczyć. — Pomimo to Wolski mu się przypominał. Smutna jego zmieniona twarz stała mu w oczach, ciekawym był dowiedzieć się czegoś o nim i przy pierwszej zręczności puścił się do Berlina na zwiady.

Chociaż do znajomości niemieckich nie skory, garbus miał tu jednego człowieka, dla którego przyjaźń od czasów uniwersytetu dochował.

Był to stary profesor Cylius, teraz już emeryt, dożywający dni swego żywota na bruku, do którego nałogowo przyrósł. Był to najpoczciwszy człowiek w świecie i w całem znaczeniu wyrazu tego człowiek. — Patrzał tak z góry na świat, że drobne namiętnostki — wszystko, co różni i co rozpłomienia ludzi, dla niego było rzeczą niezrozumiałą. — Filozof, sceptyk łagodny, serca anielskiego, Cylius na starość zabawiał się śledzeniem ruchu umysłu tak, jakby w teatrze przypatrywał się grze aktorów.

Uczony, należał do tej niezmiernie rzadkiej kategoryi, która wie, że się do śmierci ucząc pozostaje nieukiem.

Rozumiał, że nauka była drogą, ale cel jej i ostateczne słowo gdzieś poza światami. — Nie gniewała go żadna teorya, bo wszystkie uważał za przejściowe, za stopnie, po których się szło ku wysokościom, nie mogąc ich doścignąć.

W charakterze i sposobie widzenia rzeczy Cylius miał wiele analogii z Wojtusiem, dla tego garbus był mu jednym z najmilszych uczniów dawniej a teraz jednym z najukochańszych młodych przyjaciół.

Ile razy Wojtuś przyjeżdżał do Berlina, szedł zawsze na Französische Strasse do starego i w jego

towarzystwie spędzał większą część wolnych od zatrudnień godzin.

Cylius był nie żonaty, zajmował ze swemi książkami parę kawalerskich pokoików na pierwszem piętrze od tyłu, z oknami na ogród. Stał tu już lat kilkanaście i był jak u siebie. Życie wiódł regularne jak zegarek a pracowite jak mrówka. Chociaż oczy miał osłabione i popsute, czytał niezmiernie wiele a drugie tyle chodził. Powiadał, że go oczy i uszy zarówno uczyły i że nie było ani obojętnego widoku dla rozumnego człowieka ani głupiej książki.

Można mu to tylko było zarzucić, iż czytał bez wyboru i bez ładu, ale się to wszystko porządkowało w jego starej głowie jakimś biezwiednym procesem, tak że się znajdowało na swojem miejscu. Zaciekawiało go wszystko, nie roznamiętniało nic.

Życie wiódł skromne, choć bardzo był dostatni. A raz dobiwszy się niezależności i dochodu, który mu starczył na jego potrzeby, wyrzekł się praktyki, znajdując, iż był do niej za stary i że ją młodszym należy zostawić.

Mały, ruchawy, żywy jeszcze, zawsze ubrany czyściuchno i z pewną nawet wytworną prostotą, znany był ze swego kapelusza z szerokiemi skrzydłami i złotych okularów całemu niemal miastu. Znał też jeśli nie wszystkich, to co było najlepszego i najciekawszego. Mieszkając tu od bardzo dawna, jako lekarz, profesor, urzędnik mało się o kogo nie otarł. Przyjaznym był dla wszystkich — a niechętnych nie znał prawie. Rozbrajał ich swą słodyczą, której nic zatrzeć nie mogło.

I tą razą przybywszy do Berlina Wojtuś pospieszył do starego profesora. — Zastał go właśnie wychodzącego z mieszkania i wkładającego klucz do kieszeni. Staruszek poznał go i otwartemi powitał rękami.

— Cóż ty tu robisz, szanowny doktorze? — zawołał — ty, co nie lubisz Berlina i nas wszystkich Niemców? Co cię tu sprowadziło?

— Najwięcej pragnienie widzenia pana profesora... odparł garbus kłaniając się.

Staruszek pokłonił mu się jeszcze niżej.

— Zbytek łaski lub żarty, do starych takich ruin jak ja tylko archeologowie jeżdżą, a waszmość nadto masz jeszcze z żywym światem do czynienia, ażebyś się przeszłością żywić potrzebował. — Podniósł głowę profesor i spytał.

— Cóż! nie ożeniłeś się jeszcze...

— Czekam, abyś mi pan dał dobry przykład.

— O! toś się źle wybrał. Wprawdzie — rzekł zniżając głowę — miałem trzy ładne panny, które za mnie osiwiałego iść się ofiarowały, alem im oświadczył, że się spóźniły. Rachowały na prędką sukcesyą i byłyby się omyliły szkaradnie, a ja — oprócz innych niedogodności miałbym w domu pch....

Profesor chciał otworzyć mieszkanie, garbus go wstrzymał.

— Dokąd pan idziesz?

— A! na moją nieuchronną przechadzkę.

— Więc służę.

Wyszli razem. Garbus był najpewniejszym, iż od Cyliusa się dowie coś o panu radzcy von Riebe i o losie jego rodziny. Nie chciał wszakże dopytywać natrętnie i ściągać uwagi, wolał, aby to samo przyszło z rozmowy. Stary profesor dał do wyboru cel przechadzki, skierowali się więc ku kościołowi św. Jadwigi, w pobliżu którego stał dom radzcy komercyjnego. Po drodze Cylius sam dopytywał się o losy dawnych uczniów swoich. Było to wybornym środkiem do przypomnienia mu Wolskiego. Cylius miał pamięć doskonałą, przynosiła mu ona razem z nazwiskiem fizyognomią i charakterystykę.

— Wolski! a tak — rzekł — przypominam go sobie, piękny chłopiec i nie bez zdolności, lecz bodaj, czy jak wielu z was, poczciwych Polaków (tak profesor zwykł był nazywać ich) — czy nie przekładał życia nad naukę.

Pomyślał chwilę.

— Wszak prawda? to ten, który ocalił życie młodemu synowi radzcy von Riebe...

Na von położył przycisk i uśmiechnął się.

— W liberalnych Niemczech — odezwał się — z osobliwszą czcią są dla tych trzech głosek! Kto je ma szczęście posiadać z prawa natury lub dobić się prawem służebnictwa, chodzi jak indyk napuszony oddzielnym dworem od pospolitego gminu... Ja tego von znałem, gdy był początkowo Laufburszem w małym handlu, odbywając nowicyat... Powiodło mu się.

— Ale jedynaka syna podobno utracił — rzekł garbus.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DZIAŁ KOBIECY.

Uczone Polki.

Kiedy z woli królowej Jadwigi powstał w Polsce pierwszy przybytek nauki — krakowska Alma Mater, znalazło się dziewczę tak żądne wiedzy, że przywdziało męskie szaty, w tem przebraniu uczęszczało na wykłady do Akademii. Niewiasty polskie, zdolne z natury, garnęły się zawsze do nauki, a światlejsi mężowie, którzy kształcąc się we Włoszech, w tamtejszych wszechnicach widywali kobiety na katedrach, nie przeczyli płci pięknej prawa do wiedzy; dowodem słowa Górnickiego w „Dworzaninie".

„Niewieście ku przyrodzonemu baczeniu nabytego z ksiąg rozumu potrzeba. Białogłowa wszystko to umieć może, co mężczyzna. One są sposobniejsze ku pojęciu nauk subtelnych, niżli mężczyźni." To powiedział pisarz z XVI w.

Znajomość łaciny była bardzo rozpowszechniona śród dawnych niewiast polskich, niektóre zaś umiały nawet po grecku. Kiedy w Krakowie umarł zasłużony drukarz, Andrzej Piotrkowczyk, wdowa po nim Jadwiga, tak była biegła w łacinie, że pisywała wiersze w tym języku, sama prowadziła drukarnię. W XVIII-m w. śród uczonych Polek słyną: autorka licznych tragedyi, ks. Radziwiłłowa, która, oprócz innych nauk, zna doskonale prawo i ustawy sejmowe, gromadzi w Nieświeżu wielką bibliotekę; Niemierzycowa, poetka i muzyczka; ks. Jabłonowska, staraniem której w r. 1786 wychodzi w Siemiatyczach i w Warszawie pierwsza w języku polskim „Psychologia, albo lekcye elementarne o naturze i własnościach duszy".

W XIX-m w. w Polsce, pozbawionej bytu politycznego, wspaniale rozkwita piśmiennictwo, rozwija się działalność naukowa. Wtedy zjawia się u nas pierwsza kobieta filozofka, Eleonora Ziemięcka, która w dziełach swych dąży do pogodzenia wiary z rozumem. Jeszcze jest ona wyjątkiem; dopiero po strasznych wstrząśnieniach roku 1863 Polki, korzystając z tego, że niektóre wszechnice zagraniczne otworzyły swoje podwoje kobietom, z zapałem rzucają się do wyższych nauk.

Ileż przeszkód i trudności zwalczyć musiały pierwsze polskie doktorki medycyny, znane u nas i wysoko cenione pp. Ciszkiewiczowa i Tomaszewicz-Dobrska, zanim stanęły u celu! One jednak utorowały drogę innym i dziś w samej Warszawie praktykuje około 30 kobiet lekarek, a na prowincyi 20. Sanatoryum dla chorych piersiowych prowadzi wraz z mężem p. Dłuska, która w Paryżu i Wiedniu uzyskała stopień doktora medycyny. Dr. Melania Lipińska, ukończywszy studya lekarskie w Paryżu, uzupełniła je badaniami naukowemi z dziedziny fizyko-terapii w Belgii, Holandyi i Londynie i oprócz praktyki, poświęca się sprawom naukowym, wygłaszając na kongresach lekarskich referaty z dziedziny psychoterapii.

Sławę wszechświatową zdobyła dr. medycyny Józefa Joteykówna, profesorka psychologii doświadczalnej i kierowniczka takiejże pracowni przy uniwersytecie w Brukselli, redaktorka kwartalnika „La Revue Psychologique", wieńczona za swoje prace przez paryską akademię nauk i towarzystwa lekarskie w Brukselli, twórczyni t. zw. „obwodowej teoryi znużenia", autorka jedynego w swoim rodzaju dzieła „La Fatigue". Akademia w Palermo ofiarowała jej złoty medal za zasługi naukowe i humanitarne.

Kobiety polskie licznie uczęszczają na wykłady filozofii. P. Wolicka-Arndtowa pierwsza zdobyła stopień doktora filozofii, a prócz niej mamy liczny ich poczet o rozgłośnych niekiedy nazwiskach. Słusznie mówi biskup Dupanloup, że lubo głównem dla kobiety polem jest dział uczucia i wyobraźni, umysł jej tyle posiada bystrości i przenikliwości, że z łatwością pojąć może zawiłe zagadnienia i śmiałe rozumowania myślicieli. Między doktorkami filozofii jest p. Gąsiorowska, autorka „Wielkiej rewolucyi francuskiej", Helena Landau, ekonomistka, dwie uczenice sławnego Avenariusa: Anna Wyczółkowska, autorka cennych „Szkiców psychologicznych" i Józefa Kodisowa, społecznica, ekonomistka, autorka „Szkiców filozoficznych", dalej Limprechtówna, Silbersteinówna, Helena Reybekiel, Bernsteinówna, Przewóska i inne.

Najzawziętszy wróg uczonych kobiet umiałby pogodzić się z niemi, poznawszy naszą znakomitą ekonomistkę, d-ra filozofii, p Daszyńską-Golińską, która z głęboką wiedzą łączy tyle wdzięku kobiecego, prostoty i skromności. Po ukończeniu wydziału nauk społecznych w Zurychu, gdzie się doktoryzowała, spędziła dwa lata na studyach w uniwersytecie berlińskim, a jednocześnie w akademii Humboldta miewała wykłady z dziedziny ekonomii. Liczne jej prace były drukowane w pismach polskich i niemieckich; z większych na pierwszem

miejscu trzeba wymienić wielkie dwu tomowe dzieło „Ekonomia społeczna", które w krótkim czasie doczekało się dwóch wydań. Położyła także wielkie zasługi na polu oświaty i pracy społecznej, przez trzy lata przewodniczyła Eleuteryi krakowskiej, od dwóch lat jest przewodniczącą Stowarzyszenia im. Kraszewskiego pomocy naukowej dla kobiet, za pomocą broszur i odczytów prowadzi walkę z pijaństwem. Mamy nadzieję ujrzeć ją wkrótce na katedrze Akademii krakowskiej, tej pochodni oświaty, którą rozniecila dłoń Jadwigi.

Jeszcze jedno uczone nazwisko ciśnie mi się pod pióro: Michaliny Stefanowskiej, d-ra nauk przyrodniczych, b. docentki uniwersytetu genewskiego, gdzie wykładała fizyologię. Wezwana przez instytut fizyologiczny w Brukselli, poświęciła się przeważnie pracom naukowym, ogłaszając wyniki ich w pismach francuskich. Odczyty jej, miewane w Warszawie, należą do najciekawszych.

Najmniej kobiet oddaje się nauce prawa, chociaż Polki mają za sobą tradycyę dawnych niewiast, które nieraz zarządzały samoistnie dobrami, dzierżyły patrymonialną jurysdykcyę, znały się doskonale na prawie i często same stawały przed sądami w obronie własnych interesów. Zofię Chodkiewiczową nazywano przecież „adwokatem". W r. 1908 p. Janina Podgórska pierwsza ukończyła wydział prawny w Paryżu, i złożywszy w Rosyi egzamin państwowy, została pomocnikiem adwokata Lednickiego; dotąd jednakże nie wolno jej występować przed kratkami.

Największa jednak nasza sława to p Curie-Skłodowska, która wraz z mężem stwarzała nowe prawa naukowe, odkrywała nowe pierwiastki, a między niemi rad — odkrycie, stanowiące epokę w dziejach wiedzy. Za tę zdobycz młoda para uczonych otrzymała nagrodę Nobla. Po tragicznej śmierci pana Curie, żonę jego powołano na profesora fizyki w starożytnej Sorbonie paryskiej. Takiego zaszczytu żadna tam jeszcze nie dostąpiła kobieta. Carmen Sylva w ten sposób mówi o niej: „Czyż małżeństwo pp. Curie nie jest bardziej interesujące, niż wszystkie małżeństwa świata? Cała ludzkość odniosła korzyść z tego, że oni zeszli się z sobą. To, co ta para ludzi spólnie odkryła, było wielkie, nowe i wywołało ważne zmiany".

Szczupłe ramy tego artykułu sprawiły, że niejedno zasłużone opuściłam nazwisko, niejednej uczonej Polce zbyt krótką poświęciłam wzmiankę. Niech mi to wybaczą i wierzą w szczere moje uwielbienie dla ich pożytecznej pracy.

Zofia Sokołowska.

Dziecko w świetle hygieny.

Choroby zakaźne wśród dzieci.

Z całego szeregu danych wiemy, że śmiertelność wśród dzieci jest nadmierna i że dzieci choruje i umiera znacznie więcej, aniżeli dorosłych.

Śmiertelność ta wywołana jest z jednej strony wrażliwością ustroju dziecięcego na zewnętrzne wpływy, z drugiej zaś strony wynika z nieodpowiedniego pielęgnowania niemowląt i dzieci — do czego najwięcej się przyczynia nieodpowiednie odżywianie w różnych okresach życia dziecka, nieczyste utrzymanie ciała, złe warunki hygieniczne, jako to: brak światła, słońca i powietrza — i wreszcie nieumiejętność ochrony przed rozmaitemi chorobami, których dziecko może uniknąć.

Jak chronić dzieci od chorób, w szczególności od chorób zakaźnych. Rozumie się, że nie wyliczymy tu wszystkich chorób, którym podlega wiek dziecięcy — to bowiem przekroczyłoby ramy naszych pogadanek, — zatrzymamy się wszakże na tych, które najczęściej trapią dzieci, aby matki wiedziały, co czynić należy, by dziecko od choroby ochronić, i jak postępować, gdy dziecko zachoruje.

Do rzędu chorób zakaźnych zaliczamy te wszystkie choroby, które wywołane są przez zarazki chorobotwórcze; dla pewnego szeregu chorób udało się już odnaleźć specyalne zarazki w kształcie rozmaitego rodzaju drobnych żyjątek. Tutaj muszę nadmienić, że zarazek, dostawszy się do ustroju dziecka, nie zawsze wywołuje choroby, może bowiem nie znaleźć odpowiedniego gruntu dla rozwoju; jeżeli jednak zarazek, dostawszy się do ustroju, wywoła chorobę zakaźną, to objawy choroby nie zawsze zaraz się ukazują.

Dzieci na razie czują się osłabionemi, brak im apetytu, są niespokojne, czasami się skarżą na bóle w rozmaitych okolicach ciała, czasami podnosi się ciepłota, oddech jest przyspieszony, dziecko kaszle, następuje zmiana w wyrazie oczu, czasem wymioty, rozwolnienie, brak snu itp. Ostatecznie, gdy organizm dziecka do pewnego już stopnia przesycony jest trującemi substancyami, wytwarzanemi przez zarazki (t. zw. tokrynami), to choroba rysuje się wyraźnie. Okres, który zaczyna się od chwili zakażenia, t. j. dostania się drobnoustrojów do ustroju, do czasu pojawienia się pierwszych objawów choroby, nazywa się okresem wylęgania i trwa rozmaicie — od kilku godzin lub dni do kilku tygodni i dłużej. Przebieg cho-

roby zależy od ilości drobnoustrojów, które się do ustroju dziecka dostały, od ich właściwości i od odporności organizmu samego pacyenta.

Dr. med. Matylda Biehler.

Dom i kuchnia.

Zupa rybna.

Najsmaczniejsza zupa rybna, jest z karasi, miętusów, linów lub szczupaka, ale można ją gotować również z innych gatunków ryb, a nawet z głów i ości ryb, przeznaczonych do smażenia. Ugotować dużo włoszczyzny, selery i cebuli; na tym smaku gotować ryby najwyżej 25 minut (na 4 osoby 2—3 funtów ryb). Gdy za dotknięciem widelca czujemy, że ryba miękka, wtenczas ją wyjąć, zupę przecedzić, włożyć łyżkę masła i zaprawić $1/2$ kwartą dobrej śmietany. Można ją również podać czystą bez śmietany. Taki czysty rosół rybny jest najsmaczniejszy z karasi, suma lub miętusa. Do zupy rybnej podaje się kluski krajane, które można przed zaprawieniem, ugotować odrazu w tej samej zupie.

Wyborny sandacz po włosku.

W czasie postu wyborną i wykwintną potrawę z sandacza można przygotować w ten sposób: 10 f. sandacza w jednej sztuce, lub też w dwóch po 5 f., zdjąć z ości, rozciąwszy je na grzbiecie, poczem każdą sztukę starannie jeszcze oczyścić z pozostałych w niej ości i osolić na parę godzin przed wydaniem. Każde dwie połowy przyłożyć do siebie w taki sposób, aby stanowiły całość jednej większej ryby. Jeżeli potrawę tę robi się z dwóch sandaczy, to drugiego położyć obok pierwszego tak, aby cały półmisek był obydwiema rybami zapełniony.

Półmisek do tych ryb najlepszy metalowy, gdyż fajansowy jest nietrwały i po kilku razach użycia rozleci się i popęka.

Na godzinę przed obiadem złożyć rybę na wysmarowany masłem półmisek, nałożyć całą kupkami masła, którego więcej użyć nie potrzeba, jak ćwierć funta. Ćwierć funta grzybów, wcześniej ugotowanych w krótkim sosie, pokrajać w paski i rybę niemi posypać. Ćwierć funtem utartego parmezanu również całą rybę posypać, polać dobrą kwartą śmietany i posypać tartą bułeczką, z boku zaś ryby podlać trochę sosem od grzybków.

Tak przygotowaną rybę wstawić w piec na trzy kwadranse przed wydaniem jej na stół.

Półmisek z rybą przy podaniu na stół umieścić trzeba na tacy.

Wykwintny pasztet z ryby na półmisku.

Dwa sandacze — jeden 4-funtowy, drugi 2-funtowy, oczyścić i zdjąć z ości. Sandacz — większy pokrajać na dzwonka i na jedną godzinę namoczyć w winie, mniejszego zaś usiekać na masę i zrobić z niego farsz w ten sposób: 2 utarte kajzerki, 2 całe jaja, łyżkę świeżego masła, parę łyżek drobno usiekanych szyjek rakowych oraz masę rybną osolić i opieprzyć do smaku, dobrze wszystko wymieszać i na półmisek masłem wysmarowany połowę tego farszu rozpostrzeć. Rybę wyjętą z wina, obtartą ściereczką i nieco osoloną, obrumienić na maśle i ułożyć na farszu, poczem przesypać uduszonemi na maśle pieczarkami, lub poprzednio ugotowanemi grzybkami, pokrajanemi w paski. Rybę ułożoną pokryć drugą połową farszu, i przykrywszy z wierzchu papierem posmarowanym masłem, wsunąć do pieca na pół godziny.

Do tego pasztetu można podawać sos sardelowy lub kaparowy.

Bitki ze śledzia.

Licząc na jeden bitek jednego śledzia, wziąć 4 śledzie, które dobrze wymoczyć, oczyścić i drobno posiekać. Dodać 2 bułki namoczone w mleku, kawałek masła, 1 cebulę utartą, 2 całe jajka i trochę pieprzu; masę tę dobrze wymieszać i robić z niej okrągłe bitki, które obsypawszy mąką, maczać w jajku rozbitem i w tartej bułeczce i smażyć na gorącem maśle. Gdy się zarumienią wstawić je na 2 minuty do pieca i podać z kartoflami, a podając, położyć na każdy bitek kawałek surowego masła w kształcie listka lub kwadraciku.

Obiad na dwoje.

Krupnik, potrawka z cielęciny z ryżem, szynka na gorąco z groszkiem, kurczę pieczone, marmolada z jabłek, sałata z pomarańczy.

Dyspozycya obiadów na cały tydzień.

Niedziela. Bulion z jajkiem, kotlety cielęce z marchewką, wafle z kremem.

Poniedziałek. Zupa pomidorowa, pieczeń barania z grzybami, kompot z jabłek.

Wtorek. Barszcz z uszkami, kiełbasa z kapustą, naleśniki nadziewane marmeladą.

Środa. Zupa kartoflana, jajka sadzone w szarym sosie z kaszą, legumina cytrynowa.

Czwartek. Zupa grochowa z grzankami, pieczeń wołowa z kapustą brukselską, konfitury.

Piątek. Żur, bitki ze śledzi z kartofelkami, szarlotka zjabłek.

Sobota. Zupa rybna biała z kluskami, szczupak w maśle, legumina z kaszki.

:: HUMORYSTYKA ::

Słaba satysfakcya.

— Powiedz mi Karolu, czy chciałbyś aby po twojej śmierci, żona twoja poszła powtórnie za mąż, — zapytywał razu pewnego przyjaciel, nie koniecznie szczęśliwego w pożyciu małżeńskiem, swojego przyjaciela.

— Owszem i to z całego serca.

— A to dla czego?

— Bo przynajmniej znalazłby się choć jeden człowiek, którył›y litował się nad moją dolą.

Piękne za nadobne.

— Oskarżony jesteś o to, że pomagałeś Janowi do kradzieży zboża we wsi. Czy przyznajesz się do tego, co ci zarzucam? — zapytuje sędzia parobczaka wiejskiego.

Wielmożny panie sędzio, przeczyć temu nie mogę, ale w tem przecież nic złego nie ma.

— Jak to?

— Bo on wczoraj dopomógł mi powstać z ziemi, gdy się przewróciłem, więc za to ja mu dopomogłem dziś w jego potrzebie.

Młoda gospodyni.

— Kto tu dzwonił dzisiaj tak rano?

— Parobek z piekarni, który codziennie o tej porze przywozi bułki.

— Codziennie? Po co? Powiedz mu, niech przywozi w niedzielę rano na cały tydzień.

Egoistka.

— Mój drogi, tak strasznie kaszlesz w nocy, że doprawdy oka zmrużyć nie mogę. Zażyj, proszę cię, lekarstwo, które ci doktór przepisał, ono ataki twoje zmniejszy, — mówi do męża żona.

— Wstydziłabyś się takiego egoizmu. Dla tego, abyś ty dobrze spała, ja mam przyjmować te obrzydliwe krople?

Znawca malarstwa.

— Jak ci się podoba mój nowy obraz, zapytuje artysta swojego znajomego.

— Znakomity, wspaniały w całem znaczeniu tego słowa, nigdy w życiu nie widziałem jeszcze na płótnie, tak wstrząsającego pola bitwy.

— Ależ mój drogi to nie jest pole bitwy, to jest scena winobrania we Włoszech.

Największy finansista.

— Kto był największym finansistą wszystkich czasów? — zapytuje syna bankier, pewny iż mu odpowie że był nim Rotszyld.

— Noe proszę ojca.

— Czyś ty chłopcze oszalał? przecież on w arce pływał po wodach podczas potopu.

Wiem o tem, ale on jeden ocalał i wypłynął na wierzch, podczas gdy cały świat uległ likwidacyi.

Rządowo uprawniona

Fabryka wód mineralnych sztucznych i specyalnych leczniczych

pod firmą

K. RZĄCA i CHMURSKI

w Krakowie, przy ulicy św. Gertrudy L. 4

wyrabia pod kontrolą Komisyi Przem. Tow. Lek. polecone przez toż Tow. **Wody mineralne sztuczne,** odpowiadające składem chemicznym wodom: Bilińskiej, Gieshüblerskiej, Selterskiej, Vichy, Maryenbadzkiej, Hombug, Kissingen, tudzież **specyalnie lecznicze,** jak: Litową, Bromową, Jodową, Żelazista, Kwaśną, oraz **Wody lecznicze normalne** z przepisu prof. **Jaworskiego.** Sprzedaż cząstkowa w aptekach i drogeryach.

Cenniki na żądanie franko.

„Nowiny“

:: najpoczytniejszy ::
i najtańszy dziennik
w Galicyi Zachodniej

pod redakcyą Ludwika Szczepańskiego
miesięczna prenumerata 1 k. 50 hal.

„Nowiny“ celują szybkością informacyi i obfitością zajmującej lektury (2 pow.).

Prosimy żądać bezpłatnych
— numerów okazowych. —

Adres: „Nowiny“ Kraków Wiślna 2

Najlepsza herbata,
Najtańsza herbata,
Najsmaczniejsza herbata
jest z marką

„DZWON“.

$^1/_4$ f. okruchów z herbat 70 hal.
$^1/_4$ f. liściowej herbaty . . 1 K.
$^1/_4$ f. Ceylońskiej herbaty 1,20 K.

u firmy

Ag. LISOWSKI

„FORTUNA“

KRAKÓW, Sukiennice 23.

Rozszerzajcie pismo nasze!

Przy zakupnach prosimy się odwoływać na ogłoszenia w piśmie naszem.

Fabryka pieczęci kauczukowych

St. Niemczyk

5 KRAKÓW L. 9.
Sukiennice 10. B.

Najlepsze hygieniczne

Towary gumowe

do celów sanitarnych

poleca

Reim i Spółka

Rynek 37. KRAKÓW Linia A-B.

Cenniki darmo. — Wysyłki dyskretne.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyą Marjan Hupczyc w Krakowie. Czcionkami „Dziennika Poznańskiego.“. Wydawca A. Marweg w Poznaniu. Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.